

J. J. KRASZEWSKI.

DAJMON

FANTAZJA.

*La gloria non si va per via fiorita.
Dant.*

LWÓW.

Wydrukowane w drukarni G. PRYKOWICZA I SCHMIDA.

1879.



J. J. KRASZEWSKI.

DAJMON

FANTAZJA.

A gloria non si va per via fioritta.
Dant.

Platon Kupcz

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
1879.

WOJCIECHOWI
HRABIEMU
PRZIEDUSZYCKIEMU

NA PAMIĄTKĘ PRZESYŁA

AUTOR.

5. LISTOPADA 1878. R.

PRZENO.

Krac - 84



1290 0 23

....Adrian miał, gdy z matką w podróż do Włoch się wybierał, lat trzydzieści; był więc, a raczej powinien był być w sile wieku. Umysłowo rósł jeszcze i potężniał z dniem każdym, ale to wzmacnianie się na duchu odbywało się widocznie kosztem ciała i organizmu.

Wedle francuzkiego wyrażenia, miecz pochwę rozdzierał i zużywał.

Nie zawsze było to widoczne, i dusza miała w nim jeszcze siłę tak ogromną, że już zużyte i stargane przedwcześnie ciało — dźwigała na zawołanie, dawała mu utraconą potęgę młodości. Ale po każdym takim wysiłku i zwycięztwie nad wysłałem ciałem, mściło się ono, oddziaływając na ducha i nawzajem czyniąc go, choć na krótko, uiewolnikiem swoim. Naówczas Adrian padał na łóżko. leżał dysząc, bezmyślny na pozór, znękany. mając już przeczucia śmierci, choć żaden widoczny symptom choroby jej nie zwiastował.

Potrzebował spoczynku, ciszy, i w jakimś pół śnie, dręczony marami gorączkowemi, wijącemi się po mózgu bezładnie, podobnemi do wibracji

strun, na których niedawno brzmiała muzyka, nie był już panem siebie.

Świat zewnętrzny stawał mu się tak obcym, iż fenomena jego nie działały już na zmysły stępione.

Pomimo takiego zawczesnego zużycia wszystkich władz, jakimi go obficie wyposażyła natura, — wyglądał jeszcze młodo, w twarzy miał odblask wiosenny, życiem duchowem wyszlachetnione oblicze jego dziwną pięknnością jaśniało. Widać po niem było, że to wyczerpanie nie pochodziło z nadużycia cielesnych sił, ale z walk wewnętrznych i wysiłków umysłu...

Średniego wzrostu, pięknej postawy, kształtny i zręczny, we wszystkich ruchach mimo wiedzy i woli pełen strojny arystokratycznym wdziękiem, zwracał uwagę obcych nawet i najobojętniejszych wyrazem twarzy rysów nadzwyczaj regularnych, czystych, posągowych, czarnemi oczyma pełnemi blasku, smutkiem ust jakby wieczną namaszczonegą goryczą, czołem zaokrąglonem wspaniale, białem, zaledwie kilku fałdami przedwczesnemi rozciętem.

Twarz ta wprawdzie umiała się najniespodzianie zmieniać i z łagodnej stawać groźną, ale rzadko obcy mógł go pochwycić w tej chwili walki, gdy się ona piętnowała we wszystkich rysach, psując uroczą harmonię jaką im nadawał olimpijski spokój dni powszednich.

Wielkie poczucie godności własnej czyniło go baczny i niezmiernie na sposób, w jaki się obcy ludzom przedstawiał. Od dziecięctwa czuł w sobie geniusz, i obchodził się z nim jak gospodarz, który najdostojniejszego gościa ma w domu.

Geniuszowi temu, z głęboką weni wiarą, poświęcił wszystko — szczęście, młodość, pokój, serce; nawet to czem rozporządzać nie miał prawa — serca tych, co go kochali.

Od pierwszego przebudzenia się tej myśli, miał tylko jedną troskę: to, co w sobie czuł w całym blasku i potędze, światu pokazać, i zmusić świat, by temu Dajmonowi jego bił czołem.

Adrjan czuł się poetą.

Oprócz kilku prób młodzieńczych, istotnie tak pięknych formą i tak wiele obiecujących, iż ogólny zachwyt obudziły, nie chciał Adrjan już później niczem się dać poznać, z żadną poezją swoją wejść w szranki.

Pracował, wysilał się, miotał, aby stworzyć arcydzieło, od razu wystąpić mistrzem, dać choćby jedną tylko wielką pieśń, a po niej — bodaj zamilknąć i umrzeć. Szczęściem czy nie — szczęściem los dał mu tylko matkę, opiekunkę jedyną, która go miała jednego; ubóstwiała go, wierzyła weni, poślubiła jego marzenia, jemu i im poświęcając wszystko.

Nic więc swobodnemu rozwijaniu się po myśli własnej nie stawało na drodze.

Bardzo prędko, pomimo przywiązania do matki, Adrian zawojowawszy ją, uczul się wyższym nad nią, żył z nią tylko w związku serca, ale nie myśli.

Z tych się przed nią nie spowiadał. Ona mu tego nie miała za złe, w pokorze ducha mówiąc sobie, że nie mogła sięgnąć myślami tam, gdzie geniusz synowski skrzydła jego nosiły.

Stosunek bardzo czuły był na pozór zimny; spotykali się z sobą, gdy on zstępował na poziom rzeczywistości, na którym ona w pokorze, zawsze mu służyć gotowa, cierpliwie nań oczekiwała.

Znaczniejszą część dnia Adrian spędzał sam zamknięty, czytając, rojąc, tworząc — albo na rozmowach z bardzo szczupłą garstką tych, których do pewnej, różnie stopniowanej ponfalości przypuszczał. Nie zwierzał się jednak z pracy swej nikomu, i nie dopuszczał spojrzeć w nią profanom.

Nie mówił, nie myślał, nie żył niczem, tylko tą jedną żądzą utworzenia arcydzieła; ale ją nosił zamkniętą, ledwie się wydając z ogólnemi zarysami czegoś olbrzymiego....

Życie musiało się zastosować do tego celu. Wszystko, co mogło wywołać natchnienie, spotęgować je, ubarwić, było dla niego pożądane,

reszta obojętna. Podlegał się, smagał moralnie i materialnie, zmuszając się do tworzenia...

Na samo jednak natchnienie wcześniej zaprzestał się spuszczać; przekonał się, odgadł raczej, iż obok niego stanąć musi rozważa, nauka, rachuba pewna, sąd strażnik. Przychodziły też obawy, aby natchnienie nie zaślepilo w sądzie, by sąd nie złamał natchnienia, a trwogi te i miotania się czyniły go prawdziwym męczennikiem.

Stan ten rozgorączkowania trwał już prawie bez przerwy od lat przeszło dziesięciu.

W początkach ta walka wewnętrzna była jeszcze wahającą się, nieokreśloną, życie i młodość odzyskiwały swe prawa chwilowo; — później plan przyszłości stanął żelazny, nieporuszony, poddać mu się musiało wszystko.

W takim pasowaniu się z myślami, z sobą, z tą żądlą niezaspokojoną nigdy, Adrjan doszedł do lat prawie trzydziestu, nie czując się złamanym ani zestarzałym....

Matka tylko z przerażeniem postrzegła, że w oczach jej więdnął. Twarz traciła świeżość młodzieńczą, oczy nabierały chorobliwego blasku, ręce wybielały i schudłe miały drgania spazmatyczne.

Wezwany lekarz, przyjaciel domu, po ostrożnem zbadaniu go z daleka, podszeptnął wyjazd za granicę, gdzieś ku południowi, ku górcom, roz-

targnienie, zajęcie, któreby zmusiło oderwać się od samotnego zagryzania się myślami.

Spytany, nad spodziewanie wszelkie, Adrjan na podróż się zgodził. Chciał ją naprzód odbywać sam, ale matka błagając mu się narzuciła. Pozwolić musiał, aby mu towarzyszyła.

Wyjazd na czas prawdopodobnie dłuższy z domu, na wędrowkę kosztowną, której trwania i fantazji obliczyć nie było podobna, niemałem był zadaniem dla matki. Wszystko dotąd spoczywało w jej rękach, na jej głowie i sercu.

Musiała myśleć nietylko o teraźniejszości, ale i o przyszłości, o tem, ażeby, gdy się raz narodzi arcydzieło, twórca jego miał do czego powrócić na ziemię i być szczęśliwym jak prosty śmiertelnik.

Nie powątpiewała bynajmniej, że arcydzieło przyjdzie na świat, że Adrjan uspokojony potem, znajdzie towarzyszkę życia i zstąpi z tych wyżyn, na których teraz przebywał, aby spocząć na łonie rodziny.

Majątek, który pozostał po ojcu Adrjana, dosyć był znaczny, ale jak wszystkie u nas posiadłości ziemskie miał ciężary, wymagał troskliwego zarządzania, nie zawsze równe dawał dochody. Zdać go na ręce ludzi obojętnych, niezdolnych radzić sobie w każdym razie, nie było podobna. Wolalaby była może pozostać tu sama i pracować dla syna, gdyby geniusz jego nie potrzebował opieki i nieustannego niańczenia.

Szczeńciem dla utrapionej matki miała ona pod ręką przyjaciela, na którym mogła polegać.

Był nim niejaki pan kapitan Bylecki, niegdys żołnierz, teraz hreczkosiej, który się w pani Klarze niegdys kochał na zabój, nie żenił się czekając na nią, po owdowieniu modlił się o jej rękę, a nie otrzymawszy nic, oprócz zapewnienia przyjaźni, pozostał jej wiernym sługą.

Bylecki trzymał znaczną w sąsiedztwie dzierzawę. Był to doradca, opiekun, pełnomocnik, powiernik zaprzędany jej ciałem i duszą. Uśmiech wdowy, wejrzenie, podanie ręki, dobre słowo wynagradzało mu jego trudy. Człowiek był w sobie zamknięty, nie wydający się z tem co nosił we środku, pojmujący wszystko łatwo i jasno, a łagodny jak dziecko.

Przy charakterze bardzo dzielnym zdawać się mógł często człowiekiem słabym, tak dla drugich wyrozumiałym był i pobłażającym, choć dla siebie był nieubłagany.

Mówił mało, zagadnięty zaczynał od otwartego wypowiedzenia prawdy, ale gdy mu zaprzeczano, walki o utrzymanie się przy swem zdaniu nie toczył; milczał wprędce, choć stał przy swoim.

Niemłody już, miał powierzchowność ludzi, co tylko do pewnego kresu zestarzeć mogą. Znano go od lat więcej dziesięciu takim samym zawsze, jakby już zawiędłym na wieki. Ubrał się niezmiennie jednakowo na świętki i piąt-

ki, nie chorował nigdy, fantazyj nie miał żadnych. W domu gospodarzył pilno, a całą pociechę jego było pojechać do sędziny, tam kilka godzin przesiedzieć, i pokarmiwszy się jej wejściem, wrócić pod swą samotną strzechę.

Adrijana trochę niecierpliwił ten przyjaciel domu tak bardzo skromny, nie odrosły od ziemi — ale kochał go, bo niepodobna było nie kochać takiego serdecznego człowieka. Jemu tylko wydawał się on pospolitym, prozaicznym, i do pojęcia geniuszu podnieść się niemającym siły.

Ile razy przyjeżdżał kapitan, Adrijan był zmuszony dla niego zamknąć się w sobie, zniżyć i chodzić z nim po ziemi; do niebios, w obłoki podnieść go nie było podobna.

Sędzina, która go lepiej знаła, bo był wszystkim jej myśli powiernikiem, starała się nieraz przekonać syna, że za mało go ceni, że sądzi za surowo.

Adrijan się uśmiechał, zostając przy swoim.

Gdy doktor zawyrokował, że podróż za granicę była potrzebna, biednej matce przyjaciel na myśl przyszedł, jako jedyny człowiek mogący ją wybawić od troski, zabezpieczyć od strat, dać spokój na tę podróż, o którą z przerażeniem kłopotala się. Posłano po kapitana, który przybył niezwłocznie. W dwóch słowach sędzina, patrząc mu w oczy błagająco, opowiedziała drżącym głosem w jakim była położeniu,

i nie dając mu się odezwać, chwyciła go za ręce, wołając;

— Przyjacielu, na ciebie rachuję! ty nas nie opuścisz! nie odmówisz mi!

Kapitan milczał spuściwszy głowę.

— Oddam ci wszystko, rób co chcesz z majątkiem. Adrijana nie mogę wyprawić samego, muszę z nim jechać.

Lzy zakręciły się jej w oczach. Kapitan stał zafrasowany, nie śmiejąc się odezwać. Po namyśle rzekł w końcu słabym głosem:

— Radbym z duszy służyć, pani wiesz dobrze, iż to największe szczęście dla mnie być jej nżytecznym; ale jakże ja temu podołam? czy potrafię?

— A! masz rozum, masz serce złote, doświadczenie, i kochasz nas trochę, dodała wdowa, — czegoż więcej potrzeba?

Mile to pochlebstwo nie rozbroiło kapitana, który, pocałowawszy za nie w rękę sędzinę, westchnął głęboko, i usadowiwszy się obok kanapy przy niej, począł cicho:

— Moja dobrodziejko... dawno mi już to na sercu ciążyło, pragnąłem a nie śmiałem mówić z nią w tak delikatnym przedmiocie. Chodzi o tego kochanego Adrijana. Ja z dala nań patrzę, źle może widzę, ale mi się zdaje — zdaje mi się, proszę mi darować — pan Adrijan na tej drodze się zmarnuje. Jedną poezją żyć niepodobna.

Tu mu słów jakoś zabrakło, sędzina zatrwożyła go snrowem wejrzeniem. Zmięszał się, otarł pot z czoła.

— Gdy się już raz poczęło, dodał z wysiłkiem — dokończyć potrzeba, wypowiadać się jasno. Wierzę mocno, że Adrjan ma niepospolity talent.

— Geninsz! geniusz! poprawiła matka z wyrzutem.

— Ma geninsz, poprawił się kapitan posłusznie, — ma zdolności, ma naukę i będzie, jak chce, poetą wielkim; ależ poeta musi żyć! Ten geninsz jego samego i panią zabija, nim nas do nowego życia zbudzi.

— A! mój przyjacielu! przerwała gorąco Klara — godziż się ofiarę moją, tak drobną, nie znaczącą, kłaść na szalę z objawieniem się geninszu? Adrjan nie ma litości, nie oszczędza siebie samego, pracuje, walczy, zabija się, a ja, matka, nie miałabym mu przyjść w pomoc ofiarą — ach! choćby i życia?...

Wstrzymać go niepodobna, czuje się przeznaczonym... nie go nie wyrwie z tej drogi... Niech się więc spełni, co mu dano jako postanowienie!...

Aby go oszczędzić, jest jeden sposób: dopomóż, by prędzej doszedł do celu...

Zalamiała ręce, oczy miała we łzach. Kapitan popatrzywszy na nią, zamilkł...

— Ty, kochany przyjacielu — dodała wdowa — nie znasz go jak ja, i nie uwierzysz w niego!

Kapitan się zmieszał.

— Jak to? owszem! wierzę! wierzę! — zawołał — ale mi żal jego i pani.

Sędzina łązy ocierała.

— Nie, nie — rzekła — ty go nie znasz, ty nie wiesz jak wielka przyszłość go czeka. Gdybym ja śmiesznem skapstwem, niedowiarstwem, wahaniem się mojem stanęła mu na drodze, miałabym to sobie do wyrzucenia jak zbrodnię. Zabić człowieka jest zbrodnią, cóż dopiero geniusz, co ludzkości ma przyświecać?

Kapitan widząc, że przekonać nie potrafi sędziny, poprzestał na tem, i począł dopytywać o szczegóły tych usług, jakich od niego wymagała.

Wdowa, jak sama cała się poświęcała synowi, tak od przyjaciela żądała śmiało najzupełniejszej ofiary czasu i pracy. Mówiła o tem z naiwnością dziecięcą, jakby prawo do nich miała. Bylecki przyjął to jako naturalne następstwo przyjaźni.

Nazajutrz zaraz zasiąść musiał do papierów, obejrzeć gospodarstwo, przyjmować wszystko co mu zdawano, rozpytywać, notować, gotować się do wzięcia na barki ciężaru, który nań spadał...

Nie opierał się już wcale, a drożyć się wstyd mu było.

Adrian, który znaczniejszą część dnia spędzał ze swemi książkami, nad stolikiem lub chodząc po okolicy albo leżąc w swoim pokoju na sofie — dokąd nikt bez pozwolenia wchodzić nie miał prawa — przywitał Byleckiego chłodno, wyszeptał coś naksztalt podziękowania, i roz-targniony jak zawsze, już wcale na gościa nie zważał.

Geniusz czynił go rzeczywiście tyranem czasem dla siebie, zawsze dla otaczających, nie wyjmując matki. Powiadał sobie z Emersonem, że kto potężnego ducha czuje, a ma wielkie w życiu zadanie, ten nabywa prawa odpychania bezwzględne go wszystkich i wszystkiego co mu na drodze staje.

W domu też co żyło stosować się do jego woli musiało, nakazywał milczenie, wyznaczał godziny obiadu i wieczerzy, czuwać dlań musiano i chodzić na palcach. Jemu zdawało się to zupełnie naturalnem, bo się to działo dla geniuszu nie dla niego.

Matka drżała nad tem teraz, że co możliwe było na wsi, w domu u siebie, za granicą stać się musiało nietylko trudnem, ale niewykonalnem. Sama ta myśl ją trwożyła. Przewidywała, że w warunkach, jakich Adrian wymagał, podróż stanie się kosztowniejszą i nieskończenie kłopotliwą. Ale od czegoż są matki i macierzyńskie serca?

Poeta w początkach, może przez gnuśność jakąś, nie bardzo pragnący podróży, po kilku dniach zaczynał gorzeć coraz większą żądzą widzenia świata. Spodziewał się wrażeń i natchnień nowych, chciał odżyć i odmłodnieć nie-
mi, przypisywał matce cudowne jasnowidzenie, odgaśnięcie wieszcze tego, co dlań było niezbę-
dnie konieczne — dla ducha, bo ciało w żaden
nie wchodziło rachunek.

Nie wspominaliśmy, iż w liczbie ofiar, które na ołtarzu geniuszu spłonąć miały, była jedna jeszcze przez poetę z zimnem niemal okrucień-
stwem poświęcona Dajmonowi.

Cioteczna siostra pani Klary, towarzysza jej młodości i najlepsza przyjaciółka, pani Drwę-
cka, mieszkająca o mil parę, miała córkę o lat kilka młodszą od Adrijana. Lenia była ślicznem
dziewczęciem. Dzieci widywały się często, rosły
razem, bawiły z sobą. Adrijan nim został ge-
ninszem zakochał się w Leni, ona go pokochała
jak braciszka naprzód, potem jako ideał marzeń
swych dziewczycych.

Pierwsze wierszyki, pierwsze przebudzenie
się geniuszu tchnęły niebieskie oczy kuzynki.

Gwałtowna miłość wzmagala się aż do tej
chwili, gdy Adrijan uczuł się poetą i postanowił
być wielkim. Marzenia wielkości oderwały go
od ślicznej Leni. Powiedział sobie, że będąc
szczęśliwym, stałby się pospolitym człowiekiem,
że szczęścieby go wyczerpało, że geniusz na

objawienie się potrzebuje się wszystkich, od których nie oderwać niema prawa...

Nie tłumaczył się z tego przed Lenią, ale ostygł powoli i unikać od niej zaczął. Przekonał się, że ilekroć zbliżył się do niej, miękł i słabnął — począł nsuwać się ostrożnie.

Matka, która tego związku dosyć sobie życzyła, ale ani namawiać, ani nawet otwarcie się o tem z synem rozmówić nie śmiała, z daleka patrzyła trwożna.

Lenia z pewną dumą milczącą, widząc się zaniedbaną, zniosła to, nie chcąc dać po sobie poznać, że cierpi. Miłość jej była tak silna, że czekać mogła i cierpieć uczyła. Powiedziała sobie spokojnie: On lub nikt.

Posmutniała, spoważniała, ani się nastęrczając Adrjanowi, ani unikając od niego. Spotykali się rzadziej, naówczas poeta doznawał jakby zgryzoty sumienia, stawał się czułym, pokornym, oblekał się tragicznym smutkiem swojego przeznaczenia, mówił z nią o rzeczach obojętnych, o poezji czasem, o sercu nigdy. Obie matki patrząc zdaleka, wzdychały.

Gdy projekt podróży już był postanowiony, sędzina do siostry o nim napisała. W kilka dni potem przyjechała pani Drwęcka.

Adrian przeczuwając, że z nią Lenia przybędzie, wybiegł na ganek, i z podziwieniem przekonał się, że ciocia była sama.

Pod pozorem zdrowia Lenia przyjechać nie chciała. Więcej to obeszło Adrijana, niż się spodziewać było można; chmurny, przemówiwszy zaledwie słów kilka, poszedł zamknąć się w swoim pokoju i nie pokazał się już więcej.

Dwie siostry przyjaciółki, cicho szepcząc z sobą kilka godzin, spłakały się mocno, i późnym wieczorem dopiero pani Drwęcka powróciła do domu.

Zaraz po jej wyjeździe Adrijan wyszedł ze swej kryjówki do matki, posępny, milczący, skarzając się na ból głowy.

W rozmowie przerywanej napomknął, że należało z pożegnaniem pojechać do ciotki. Jak zawsze, wola geniuszu była dla matki rozkazem. O Leni nie wspominał wcale; można było go jednak posądzić, że nie chcąc sam kochać, nie mógł pozwolić na to, aby go kochać przestano.

Trzeciego dnia przypomniawszy odwiedzin ciotki, matka zawsze była gotowa, i mimo dnia słotnego ruszyli natychmiast. Przez całą drogę Adrijan siedział zadumany, dwa tylko czy trzy razy chwyciwszy ołówek, który zawsze nosił przy sobie, aby coś zapisać. Tworzył bowiem tak ciągle, i niekiedy wśród najprozaiczniejszych warunków, miewał chwile natchnienia, przycho-dzącego i znikającego jak błyskawica.

Gdy przybyli do Zalesia i weszli do dworu, Leni nie było w pokoju, nierychło się nawet ukazała, co widocznie kuzynkowi humor popsu-

ło. Na zapytanie o nią, odpowiedziała ciotka, że wkrótce zapewne nadejdzie.

Jakoż za chwilę, biedne dziewczę, które potrzebowało zebrać siły, obudzić w sobie mężstwo, ochłonąć ze wzruszenia — weszło z twarzą spokojną, prawie wesolą, niezmieszane wcale, i przywitało Adrijana z dawną poufalością, jakby mu nie do wyrzucenia nie miało.

W tej chwili ona była wyższą panowaniem nad sobą niż geniusz, który zdradził wzruszenie wielkie, chociaż natychmiast się go zawstydził i poskromił je.

Dzień po deszczu nad wieczór zrobił się bardzo piękny. Słońce w tysiącach kropel zwieszonych na drzew liściach, na trawach i kwiatach, świeciło brylantami. Coś młodzieńczo wesołego było w naturze odżywiającej rosą niebieską. Wyszli na ganek otwarty świeżem oddychać powietrzem.

Lenia uśmiechała się zmuszając się okazać obojętną.

— A zatem, — mówiła do niego — postanowiono to, uciekacie od nas, osierocacie nas? Na długo?

— Któż wiedzieć może? — odparł Adrijan melancholicznie, jak gdyby despotyzmowi konieczności jakiejś musiał nlegać. Podróż tę postanowiliśmy nagle, nie miałem do niej z początku ochoty. Teraz wyobrażnia puściła sobie cugle, już nie wiem gdzie się oprę... Włochy! Włoch

mi za mało, pragnę widzieć Wschód — kolebkę, a Wschód to cały świat ogromny w gruzach lat tysięcy. Prawdziwie matka moja to anioł, który zawsze sercem przeczuwa czego mi potrzeba. Ona pierwsza to zrozumiała, że nie godzi mi się zamykać tak, rdzewieć, zjadając się myślami własnymi...

Jedziemy więc.

Lenia słuchała na pozór obojętnie.

— To całe lata potrwać może? — dodała z rezygnacją chłodną.

— Lata! Nie wiem! — rzekł zajęty już sobą poeta. — Być może. Szwajcarja naprzód! W Szwajcarji góry i jeziora poezję z siebie wydzielają, powietrze jest jej pełne, łąki nią wonieją. Potem Włochy! całe wieki wspomnień, gruzów, kości umarłych, żywszych dziś jeszcze niż ci, co je depczą. Naostatek Wschód, Jeruzalem, Niniwa, Babilon, Palmira... nie zliczę!

Potarł czoło, patrząc w niebieskie oczy Leni. Ona nie mówiła nic — ciągnął dalej:

— Podróż ta była tajemną potrzebą duszy mojej, o której nigdy nie mówiłem, choć chorowałem na nią, nie zdając sobie sprawy z gryzącej serce tęsknoty.

— Któż wie? — odezwało się dziewczę — na ruinach Palmiry przyjść może potem tęsknota do spokojnej wsi naszej?

Adrian spojrział w dal zadumany.

— A! i to być może — odparł ciszej — bo tęsknota jest nieuleczoną chorobą ludzkości, która zawsze pragnąć musi i mieć coś przed sobą niedoścignionego. Spokój — to śmierć.

— Można by z tego wniesć — szepnęła Lenia — że i szczęście — to śmierć!

Zamilkli oboje, dziewczę stojąc przy wazonie mirtu, obrywało bezmyślnie gorzkie listki jego, i gryzło je białemi ząbkami.

— Tak — dodał zamyślony Adrian — pewnie tęsknić będę do domu gdy go porzucę, ale nie prędzej aż się nasycę i przesyćę temi widokami majestatycznemi Oceanu, gór, przepaści, pustyń, których dusza łaknie głodna...

Wszystko to znam ze sławy i słowa, widziałem już oczyma duszy, znam z obrazów, z opisów, intuicją ducha mojego; więc co za rozkosz porównywać widziadła z rzeczywistością, mierzyć siły wyobraźni z potęgą natury!...

Lenia słuchała pilno, rączki jej nieznacznie drżały, choć twarz ciągle się niby nśmiechała.

— Wy mi nie zazdrościcie tej podróży? odezwał się Adrian.

— Ja? A! nie! odparła oczy spuszczaając. Różne są potrzeby i usposobienia ludzi. Orły latają wysoko, wróble siedzą na gniazdkach pod strychem. Ja się czuję wróblem i — dobrze mi pod moją strzechą!

Adrian spojrzał na nią z rodzajem politowania.

— Zresztą, dodało prędko dziewczę — da Bóg doczekać waszego powrotu — bo już ciż kiedyś powrócić musicie? — wiem pewnie, iż tak żywo odmalujecie nam co tam będziecie widzieli, iż ja potrafię słuchając was, wyobrazić sobie, żem tam była.

Adrianowi może to pochlebiło, wzrok jego zamglił się jakoś.

— Jednakże — odezwał się czulej — mimo całej ochoty do podróży, nigdy sobie nie wyobrażał, aby rozstanie z naszym cichym kątkiem tyle mnie kosztować miało.

Oczy Leni jaśniejsze się stały.

— Doprawdy? spytała żywo. To ledwie do wiary — bo wy, kuzynie, żyjecie tu czy tam, tak w sobie samym, iż dla was otaczający świat prawie być musi obojętnym.

— Wcale nie — zaprotestował również się ożywiając poeta. Są nieszczęśliwe charaktery, natury, temperamenta, nazwiejcie to jak chcecie — a moja do nich należy, — które potędze jakiejś wyższej w nich zamkniętej mimowoli posłuszne być muszą. Co pomoże więźniowi zakutemu w kajdany, że się w nich napróżno szarpać będzie.

Ja tym więźniem jestem.

W krótkim przestanku milczenia, Lenia się namyslać zdawała.

— Są złote kajdany, z których się nie rozkuwa — rzekła; żelazne, kto chce, kto ma silną wolę potargać może.

Adrian patrzył w ogród długo, próżno Lenia na odpowiedź czekała, zwróciła rozmowę.

— O! dla was, kuzynku, podróż ta będzie poematem, to pewna, ale dla biednej cioci Klary, która tak wieś lubi, spokoju potrzebuje, a was kocha!...

Zarumienił się Adrian, czując się obwionym.

— Matka moja sama pierwsza życzyła tej podróży, odparł sucho i opryskliwie. Ofiarowała się, żądała jechać ze mną, mogłem przecie wybrać się bez niej, nie jestem dzieckiem. Mama także ciekawa, i dla niej, wiem pewnie, podróż ta będzie przyjemnością nie ofiarą. Ja ofiar nie żądam i nie przyjmuję od nikogo.

Uczuwszy wymówkę w poruszonym głosie, Lenia nie odpowiedziała nic na nią.

— I kiedyż w tę podróż? spytała z prostotą.

— Bardzo wkrótce — odparł Adrian ochłoniwszy prędko — przybyliśmy z pożegnaniem. Proszę mocno kochanej kuzynki, aby o biednym wygnańcu nie zapomniała.

— A! rozśmiała się smutnie Lenia, oddając mu ukłon — to bardzo grzecznie! Ale wygnaniec nie jest biedny, wygnanie dobrowolne,

los jego nie obudza litości. My to możemy prosić, aby wśród wspaniałych krajobrazów Włoch i Wschodu nie zapomniano o nas — dla kontrastu!

Adrian nie wiedzieć dla czego, chciał ją w rękę pocałować, i ujął ją już, gdy Lenia rumieniąc się wyrwała mu ją spiesźnie.

Wołano ich właśnie z salonu na herbatę, i ona pierwsza zwróciła się śpiesząc do stolika. Poeta ścigając ją wzrokiem, powlókł się zwolna, nie rad z siebie, z twarzą smutną. Matka, która w niej czytać była nawykła, w duchu o zły humor obwiniła siostrzenicę.

W salonie, co mu się niekiedy trafiało, Adrian zapragnął być na swój sposób, fantastycznie, po byronowsku wesołym, dowcipnym, złośliwym. Dnia tego jakoś mu się to nie udało.

Drwęcka, która nie miała dla niego tak nadzwyczajnego uwielbienia jak matka, a nawet żalu trochę — kilka razy ruszyła niecierpliwie ramionami.

Żarty były ostre a niesmaczne. Chmurą okryło się czoło Adriana, przywykłego do oklasków. Lenia, jakby na przekór, zaczęła udawać nadto wesołą. Mówiono ciągle o podróży.

— Dajcie bo już temu pokój — odczuwała się gospodyni, — chcecie nas chyba do łez przywieść strasząc tą rozłąką. Dla was to wycieczka

wesoła, ale my przecie i obawiać się i tęsknić musimy; nie każcież nam tak zawczasu oblekać się smutkiem, dość go potem będziemy mieli.

Klara więc zmieniając trochę przedmiot, zaczęła się unosić nad dobrocią Byleckiego i ofiarą jaką dla nich czynił. Adrian nie mógł znieść, aby mówiono o ofiarach.

— Niech mi mama wierzy, przerwał, że dla niego to największe szczęście mieć więcej jednym spichrzem i stodołą do doglądania. Człowiek ten był stworzony na ekonoma.

— Cóż ty to mówisz? przerwała matka zgorszona.

— To mu bynajmniej nie ujmuje — poprawił się Adrian — jest ekonomem idealnym, plenipotentem, którego nam prawdziwie Bóg zesłał.

Zmierzało już dobrze gdy się żegnać począł. Adrian rozweselił się znowu. Drwęcka nie chciała przypuścić, aby już siostry przed odjazdem widzieć nie miała — przyrzekła swoje przybycie.

Poeta idąc za niemi z Lenią, zamienił z nią kilka słów i wejrzeń, jakby za dawnych dobrych czasów. Choć dotąd dosyć zimno z sobą byli, przy rozstaniu pochwycił ją za rękę i do ust ją przyłożył, ona ścisnęła dłoń jego, spojrzeli sobie w oczy, poruszeni mocno. Serca uderzyły.

Czy trwało to uczucie? Któż wie? Adrian przez całą drogę milczał i wzdychał. Sędzina myślała już o tysiącu szczegółów, dotyczących się podróży. W ganku powitał ich milczący kapitan, podając rękę wdowie i oznajmując, że pieniądze potrzebne ma już gotowe, listy rekomendacyjne pościagał i — wszystkie polecenia niestety! były już spełnione. Nic już nie stało na przeszkodzie do wyjazdu. Matka rada go teraz była odłożyć, bo gdy się chwila rozstania z domem zbliżała, trwoga i smutne jakieś przecucie serce jej uciskało. Adrian naglił o pośpiech.

W parę dni potem nadjechała Drwęcka, ale bez Leni. Adrian lżej odetchnął teraz zobaczywszy, że jej nie ma, — lękał się widocznie wrażenia, jakie na nim czyniła. Powiedziano, że jest trochę chora, w istocie nie miała siły do pożegnania, i wołała popłakać sam na sam. Jeszcze dni kilka, a wyjazd stał się nieodzownym, bo poeta już wysiedzieć dłużej nie mógł. Wyjechali więc, on milczący i blady, matka zapłakana, nie śmiejąc na swój domek się obejrzeć.

Kilka lat w podróży upłynęło. Adrian bawił najprzód z matką czas jakiś w Szwajcarji. Kraj wzbudził w nim zachwyt wielki, ludzie rozczarowywali. Pomiedzy tym światem cudnej piękności a mieszkańcami najprozaicniejszej w świecie natury, nie było związku. Adrian się tem niecierpliwił, ludzie mu psuli krajobrazy. Wyjechali więc do Włoch, które w nowe wprowadziły go

uniesienie. Tu prozę teraźniejszości aureolą otaczały wspomnienia dawne. Adrjan uczuł się tak orzeźwionym, odmłodniałym, widoki czarowne tego kraju barw i linii uroczych tak nań podziały, iż o wszystkim zapomniawszy, chciał siedzieć to w Rzymie, to we Florencji, to gdzieś w górach, a wreszcie w Neapolu; Adrjan się czuł natchnionym, stąpając w ślady poetów swych poprzedników, których wspomnienia znajdował wszędzie — zapal poetyczny w nim rósł i potężniał; mówił ciągle jeszcze o wędrówce na Wschód, ale od samych Włoch oderwać się nie mógł.

Poemat, co najważniejsza, owo wielkie marzone arcydzieło urosło ogromnie, nabrało barw nowych, sam poeta unosił się nad niem, był niem coraz dumniejszy — pragnął go tylko dokończyć. W ciągu podróży trafił, a może wola własna zbliżyły go do kilku duchów pokrewnych; dzielił się z nimi myślaniami o sztuce, poddawał im pod sąd pojęcia swoje, zyskiwał współczucie i oklaski wielu — urosła w nim pewność siebie.

Gorączka twórcza wzmagala się coraz, lecz siły wyczerpywały.

Błądł, mizerniał, pokaszliwał, wmawiając w siebie lepsze niż kiedykolwiek zdrowie.

Matka niewolnica, znużona, trwożna, szła osłaniając biedną istotę, która rozbijała się co chwila o rzeczywistość, potrzebując niestannej

opieki. Tymczasem to czuwanie macierzyńskie stawać się zaczynało coraz większym ciężarem dla geniusza. Klara smutniała i tęskniła do domu; z listów kapitana widziała, jak ciężko było fantazjom syna dogodzić, w których nie znał miary, nie domyślał się ich ceny.

Towarzystwo jej zwiększało jeszcze wydatki, choć dla siebie jak najmniej potrzebowała. Płakała biedna, kryjąc się ze łzami, modląc, nie wiedząc co począć z sobą i z nim. Adrian bujając w obłokach, ani chciał słuchać o powrocie: jego poemat na Wschodzie, pod namiotami Beduinów mógł tylko być skończony.

Gdy się to działo, przyszła jak piorun wiadomość o nagłym zgonie poczciwego kapitana; powrót matki do domu stał się koniecznością. Adrian dla samego zdrowia nawet powracać nie mógł. Doktorowie, których tajemnie radziła się matka, nie trwając jej, dawali jednak do zrozumienia, że dla poety dłuższy pobyt na Południu był więcej niż pożądany — stał się niemal koniecznym.

On sam wcale nie czuł się chorym, zmęczonym zaledwie pracą. Przypisywał osłabienie swe tworzeniu i wyczerpaniu ducha.

Podróż na Wschód, utrzymywał stanowczo, miała go wyleczyć i dać mu siły nowe. Z natarczywością niemal począł naglić, aby matka wracała odpocząć do kraju, a obmyślić dlań środki do dalszej podróży.

W ciągu jej, jak się spodziewał, wprędce miał swój poemat dokończyć, do którego wypełnienia ciągle mu nowe myśli przybywały; miał się zająć wydaniem tego arcydzieła, i dopiero rzuciwszy je zdumionemu światu, powrócić także spocząć u kolan matki.

Ze smutną rezygnacją słuchała tego wdowa, napawając się marzeniami syna, czując konieczność opuszczenia go i połykając łzy skrywane.

Chwila rozstania była dla niej straszną jak śmierć. Złamała ona i Adrijana, który przeprowadziwszy matkę do Neapolu, wrócił do domku swego w Sorrencie, aby się do łóżka położyć.

Lecz boleść ta, acz wielka w początku, w przeciągu dni kilku ostygła pod wrażeniem daleko silniejszym, jakiego doznał Adrijan spotkawszy się z jednym z dawnych swych towarzyszków i przyjaciół młodości.

Był nim hrabia Marjan, młodzieniec tego wieku co on, ale bardzo różnego charakteru i usposobień — sceptyk, szyderca, który chwilami zrywał się do największego entuzjazmu, aby natychmiast prawie wrócić do ironii, chłodu i niewiary we wszystko, nawet w samego siebie. Na dwóch przeciwnych krańcach schodziło mu życie w uwielbieniu tego, na co plwał wczora, w szyderstwach z tego co wielbił przed chwilą. Sceptycyzm przemagał w nim, lecz jak z zimnej łaźni, Marjan się z niego czasem rozpaczliwie wy-

dzierał. Wrażliwy był do zbytku, a wychowanie od razu przechyliło go na stronę ironii życia. Miał we krwi, w rodzie coś, co mu nie дозволяło kochać, nie śmiejąc się z tego uczucia, wierzyć w co bądź, nie szydząc z własnej wiary.

W towarzystwie jednak, jakby się wstydził tego usposobienia, hrabia chciał uchodzić raczej za entuzjastę i dziwaka, niż za niedowiarka bez czucia.

Na świecie nudziło mu się.

Miał po za sobą już burzliwą przeszłość, dosyć po niej pozostałych niesmaków, szukał ludzi, aby żyć ich kosztem, gdyż w sobie samym nie miał już materiału do życia.

Natura dała mu niesłychaną bystrość pojęcia i pamięć cudowną, która za własną myśl starczyła. Hrabia choć w istocie nie dobrze nie umiał, rozumiał wszystko, odgadnąć mógł co chciał, a zajmował się krótko, lecz żywo bardzo czemkolwiekby, byle ono było nowem i próżnię jego duszy zapełniało chwilowo.

Zapewniano, choć temu wierzyć było trudno, że raz miał już hrabia fantazję spróbować nowicjatu u Trapistów, a prawie bezpośrednio potem zaciągnął się na czas jakiś do bandy opryszków w górach. Wszystko to dla tych, co go bliżej znali, wydawało się możliwem, bo hrabia gdy go trawiły nudy chroniczne, miewał fantazje najdziwsze.

Mówiono o romansach jego wzbudzających obrzydliwość i o poświęceniach, które mogły uwielbienia być godne, gdyby z serca szły nie z szalonego humoru.

Wszystko to mieszało się razem, a wśród tych paroksyzmów niejeden już raz hrabia Marjan zasiadał i do książek; bladł nad studjami nauk zapomnianych, zwietrzalych, dziwacznych, pociągających tajemniczością swoją. Potem jednego dnia książki wyrzucał za okno, i zaciągawszy się jako majtek, miesiące na nędznej barce robił wiosłem i walczył z burzą.

Z fantastycznych wycieczek na pole nauk, pozostały mu wiadomości najrozmaitsze, bezładne, lecz obfite; jakiś *bric à brac* literacki, którym łatwo mógł przy pierwszym poznaniu olśnić łatwowiernego słuchacza.

Czatał wiele, całe poemata umiał na pamięć, a że raz sam chorował nawet na poetę i wyobraził sobie, że poezję można się nauczyć robić tak jak buty, wszystkie teorie tworzenia były mu znane. Nie było nadeń trafniejszego, przenikliwszego krytyka, bo to co było chorobą jego ducha, usposabiało go do bystrego chwytania stron ujemnych, równie w życiu jak w piśmie.

Z prawdziwą przyjemnością hrabia Marjan sprawiał sobie igraszki z ludzi, którzy się wobec niego nad czemkolwiek unosili. Natychmiast brał się do ostudzenia, przeczenia i zo-

hydzenia tego, co im się wydawało cudownem. Ktoś o nim mówił trafnie, że miał przyjemność, gdy drudzy jedli, pluć im do półmiska.

Czynił to z takim zapalem, przejęciem, gorącością, iż przysiadz było można, że myślał co mówi, gdy często, tego samego dnia potem, wyśmiewał się i z siebie, i z tych, których oburzył lub nawrócił.

Dodać kaze sprawiedliwość, że spotkawszy się z krytyką, choćby najmocniej usprawiedliwioną, i przeciw niej na harc wychodził w obrońnię tego, co mu się na prawdę najlichszem wydawało.

W istocie, kwestje, które podnosił, rozpłomieniając się do nich, były mu zupełnie obojętne; w głębi ducha powiadał sobie: *Chi lo sa?*

Włoskie *chi lo sa?* było mu ostatniem słowem mądrości. Nie przeszkadzało mu to jednak, dla przerwania nudów, walczyć a choćby się bić za to w co nie wierzył.

Zawiazywał znajomości i najserdeczniejsze przyjaźni bardzo łatwo, w początku wpijając się w ludzi z natarczywością, zwłaszcza jeżeli się oni sami do niego nie garnęli — a potem jednego dnia, gdy ich miał dosyć, rzucając wpośród gościńca... nie powiedziawszy nawet: — bądźcie zdrowi. Gdy go kto znudził, gdy kogo do dna wyczerpał, jak łupinę wyciśniętego owocu odpychał i deptał nogą.

Z przyjaźni do nienawiści przejście dlań było niezmiernie łatwe; lada słowo, lada spór błahy starczył do zerwania.

Z wyjątkiem tych godzin niewieln niecierpliwości i szału, przypominających słonie w niewoli, nagle rwące więzy i tratujące nogami co napadną — hrabia Marjan był najmilszym w świecie człowiekiem. Powierzchnowość miał ujmującą, dystygowaną, nie sztywną, rnych nieco rnbaszne i swobodne, ale formy salonowe, a choć niekiedy, zapomniawszy się stawał gbnrem, spotykało go to tylko w owych paroksyzmach, o których wspominaliśmy.

Adrian znał go dawniej, byli z sobą na stopie przyjacielskiej, ale niezbyt ponfalej, tak, że po upływie lat wielu dwaj towarzysze młodości mogli dla siebie być zagadką.

Marjan który znown się nudził, a dla klimatu i dla swobody chciał siedzieć jeszcze we Włoszech, bo tn go żalne względy towarzyskie nie krępowały, był już z rozpaczny gotów brać lekeje rzeźby albo malarstwa, gdy dowiedział się o Adrianie i podskoczył z radości.

Słyszał o nim bardzo wiele, gdyż naówczas już, choć poeta nic jeszcze nie ogłosił, nie wystąpił z niczem, mówiono o nim głośno jako o geninszn mającym zaćnić wszystko co dotychczas najjaśniejszem było. Od poematu Adriana rozpocząć się miała, jak opowiadano, nowa epoka w literatnrze, Ci, co zasłyszeli coś o nim,

na rachunek tych, co im gdzieś pochwyczone opowiadali szczegóły, tworzyli baśnie, komponowali rzeczy nadzwyczajne.

Chociaż Adrjan nie czytywał ustępów nikomu i rzadko kto mógł od niego kilka wierszy wydobyć, podchwycić, cytowano z poematu ustępy, przy których deklamowaniu ludzie mdleli, niewiasty w konwulsje wpadały, rozumni i chłodni mężowie odchodzili od zmysłów, przechodzili w ekstazy.

Im mniej znano owo nienarodzone arcydzieło, tem wieści o niem bardziej przesadzone rozsiewać było wolno — nikt ich sprostować nie mógł.

Osoba autora przyczyniała się wielce do nadania dziełu fizjognomii tajemniczej i cudownej. Adrjan był dzikim, mało do siebie dopuszczającym samotnikiem, przytem chorym, na pół jakby jasnowidzącym, wieszczem wszędzie i zawsze chodzącym w aureoli. Kobiety, którym szeptano, że to był wielki poeta, patrząc nań rozczulały się, sympatycznie ku niemu biły serca, szukano go, on zdawał się odpychać hołdy i współczucia, gardzić oklaskami — stał na niedostępnym wyżynach.

Rozmaitych dziwactw pełnych oryginalności opowiadano o nim mnóstwo, na rachunek jego puszczone w obieg chodziły sarkazmy, wykrzykniki ostre jak pociski, sądy nielitościwe, prze powiednie wieszczę!!

Z takich żywiołów siedmiobarwnych składają się zwykle aureole — skroń przyszłego wiejsza już jedna z nich otaczała.

Nie przeszkadzało mu i to, że był piękny, młody, że był chory i że był dziki.

Hrabiemu Marjanowi było bardzo na rękę zbliżyć się do człowieka już mającego rozgłosną sławę, i tą przyjaźnią wkupić się w przyszłą jego nieśmiertelność. Przypuszczał nawet, że Adrian uzdrowić go może z niewiary, zarazić go geniuszem. Sam nie był zdolny do niczego, ale pobudzony, rozdrażniony, popchnięty mógł iść daleko i wysoko.

Dowiedziawszy się o dawnym przyjacielu, hrabia Marjan począł od tego, iż zebrał sobie przygotowawczy materiał, rozpytał o niego, pochwytał wiadomości i wskazówki, zdawało mu się, że miał pewne pojęcie o charakterze tego, któremu za towarzysza, za Pylada chciał się narzucić.

Adrian jeszcze po wyjeździe matki leżał odpoczywając i rozmyślając o poemacie i o podróży na Wschód, gdy Marjan do drzwi jego zapukał. Gospodyni, kobieta średniego wieku, niespokojna i podejrzliwa, a zapłacona i nauczona przez matkę Adrijaną, aby była ostrożną i czujną — obejrzawszy przybysza wciskającego się dosyć zuchwale, z razu odmówiła mu wręcz wstępu...

— *Che! che! che!* — zawołała drzwi przy-
mykając. — *Signore Polacco* mocno chory, gości
mu żadnych nie potrzeba, zakazał ich doktor
przyjmować!

Im bardziej napierał się hrabia, tem gniew-
liwa signora Costa zapalczywiej wnijscia bro-
niła i drogę zapierała.

Musiał, uciekając się do ostatniego środka,
zagrozić jej interesem wielkiej wagi, mającym
za sobą straty pociągnąć, i zmusił do oddania
swojego biletu, na którym na prędcie dopisał
ołówkiem kilka słów niezmiernie dla Adrijana
pochlebnych, i jakby serdeczną dla niego miło-
ścią natchnionych.

Poeta był sam właśnie, smutny, znękany;
brakło mu, nawykłemu do opieki czyjejs, kogoś,
na kimby się jak na ramieniu matki mógł we-
sprzeć.

Kartka hrabiego zdała mu się darem nie-
bios. Anioł stróż czuwający nad geniuszem zsy-
łał przyjaciela, duszę bratnią, czciciela; widział
w tem Adrijan rękę Niebios, łaskę przeznacze-
nia, ratunek...

Z wielkiem więc zdziwieniem mruczącej si-
gnory Costy, zobaczywszy bilet, z okrzykiem
radośnym porwał się z łóżka na wpół ubrany,
i wybiegł naprzeciw hrabiego.

Gospodyni, która go nigdy jeszcze tak oży-
wionym nie widziała, patrząc na powitanie mo-

gła mniemać, iż najczulsza, braterska przyjaźń albo krew ich łączy, tak wzruszeni padli sobie w objęcia.

Uspodobienie obu w tej chwili, djapazon dawnej przyjaźni, dosyć niski, o kilka tonów podniosło.

Obaj uwierzyli w to, że byli z sobą niegdyś jak bracia, i że dalszym ciągiem dni zapomnianych musi być związek nowy — jakby jednej duszy w dwóch ciałach. Sceptyk nawet uniósł się i poruszył.

Byli sobie wzajem potrzebni. Hrabia zjednał Adrijana zaraz admiracją i poszanowaniem, z jakim przybywał; a na nim błada, piękna, istotnie natchnieniem namaszczona twarz poety, mowa jego pełna powagi, uśmiech trochę goryczą zaprawny, jakieś oblicze i postawa uroczysta, niby kapłańska — uczyniły wrażenie silne. Nim się z tego wszystkiego miał zacząć wyśmiewać, przypatrywał się z ciekawością ogromną, nadzwyczajną, przybierającą pozór głębokiej czci i uwielbienia.

Adrijan mieszkał w willi nad samą drogą wiodącą do Castellamare, prawie poza Sorrentem, choć tuż blisko najpierwszej gospody pana Tramontany. Domek dosyć był opuszczony, górne piętro zajmowała angielska jakaś rodzina. On z matką mieli kilka pokoiów na parterze i balkon z widokiem na morze, zawieszony tuż nad przepaścią najeżoną skalami. Z okien w

dali widać było zatokę turkusową, chmurką okryty Wezuwiusz i białawe budowy Neapolu, a na wielkiej przestrzeni koloru nieba czarne łódki rybaków pływające jakby w powietrzu.

Po wyjeździe wdowy, Adrian w tem nazbyt dlań obszernem mieszkaniu pozostał sam do czasu, nie chcąc go zmieniać, bo na myśli miał podróż wschodnią. Wiosna już była skwarna, dywany podarte pozdejmowano z podłóg mozaikowych, żaluzje stały cały dzień pospuszczane dla chłodu. W tym pół mroku przypatrując się sobie dawni towarzysze, po wielu latach na obczyźnie zmienieni w najserdeczniejszych przyjaciół, jakimi nigdy nie byli — stali obaj z siebie szczęśliwi.

— Ale jakimże sposobem mogłeś się o mnie dowiedzieć, hrabio kochany? zawołał Adrian po pierwszych powitaniach. Nie pojmuję! Tu mnie nikt nie zna, nikt nie wie i nie umie wymówić mojego nazwiska. Unikam wszelkiego stosunku z ludźmi i światem.

— A! rozśmiał się Marjan — wyobrażasz sobie fałszywie, że możesz gdziekolwiekbaż zachować incognito! Poeta, którego sława brzmi już w ustach wszystkich — nigdzie się ukryć nie może. Wy jesteście jak ubłogosławieni, których obcy po aureoli poznają. Serca i oczy gonią za tobą.

Adrian, którego to dosyć przyjemnie łechtało, ruszył ramionami.

— Poeta! zawołał — ale ja jeszcze prawa nie mam do tego imienia, wielce spopolitowanego, a w istocie znaczącego tak wiele jak kapłaństwo. Ani trzech moich wierszy nikt nie czytał, ani trzech myśli moich nikt nie odgadnął — nikt mnie nie zna! Co się w mojej duszy rodzi, o tem wie tylko Bóg jeden i — ja.

Marjan słuchał z wielkiem wytężeniem, ze czcią, z uwagą.

— Poezja — kochany Adrjanie, odezwał się poważnie — ma woń przenikającą, która ją zdradza. Mogę ci zaręczyć, bez pochlebstwa, że *vox populi* już ci zawczasu, przeczuciem niemylnem, pierwsze miejsce naznacza na naszym i europejskim Parnasie, obok Goethego i Byrona. Objawienie się twoje światu zwiastują już proroczo...

Adrjan przyjął to kadzidło z obojętnością pozorną bóstwa kamiennego, które dymem otaczają czciciele.

— Mnie to trwogą napętnia — odpowiedział. Tak, prawdą jest, że od lat przeszło dziesięciu pracuję w krwawym czoła pocie nad olbrzymim poematem, że czuję w sobie ogień święty, natchnienie, ten głos, który woła i każe otworzyć serce i usta, choćby za to ukamienować miano. Wszystko to prawda, lecz wielkie oczekiwania, które mogą przygotować tryumf, zarazem przerażają — tyle nadziei może zrodzić rozczarowanie. Wyobraźnia ludzi leci niepoła-

mowana wyżej, niż największy geniusz sięgnąć może. Spaść z tych wyżyn Ikarem, to więcej niż śmierć, to hańba!

Marjan przerwał, sadowiąc się na kanapie:

— Dość! dość! nie potrącajmy teraz o ten przedmiot, nie wyczerpujmy go tak lekko i po-bieżnie... Profanacją by to było. Spodziewam się dłuższy czas spędzić z tobą, będziemy wielkie zadania sztuki roztrząsać swobodnie — powoli, *à tête reposée*. Teraz, ty mi mów o sobie...

Jak się czujesz? Dlaczego siedzisz we Włoszech? Jesteś cierpiący?

Adrian zapatrzył się w ziemię.

— Cierpiącym, odparł, tak bardzo nie jestem. Trudno zresztą, aby w stanie anormalnym, w jaki musi wprowadzać natchnienie i tworzenie, być cieleśnie zdrowym. Kto się codziennie upijać musi, ten cierpi z konieczności; ja więcej niż pół życia mego chodzę pijany, jeśli nie winem to poezją, która pali mocniej niż Lacrima Christi i stare Falerny. Cierpię jednak więcej na duchu, niż na ciele. Rozumiesz mnie. Cierpienie to jest zarazem rozkoszą i męczarnią.

Marjan pomyślał w duchu: — „Frazes zużyty!” a głośno dodał:

— Z tego co słyszałem, wnoszę, że praca przecie musi się zbliżać ku końcowi! Tyle lat!

— Całe życie może nie starczyć na stworzenie tego co ja chcę — arcydzieła — odparł Adrian naiwnie. Mówię to cynicznie tobie, co

mnie zrozumiesz, nie lękając się, byś mnie wyśmiał. Ale stworzę to, co noszę w duszy, lub padnę ofiarą Dajmona, który mnie opanował.

— Przepraszam cię, zawołał hrabia żywo bardzo, jakby serdeczny brał udział w sprawie — kogoż uczynisz sędzią twojego poematu?

— Siebie! rzekł z wielką powagą Adrian — najprzód nikogo tylko siebie. Tak. Prawdziwy poeta z natury swej powinien być istotą wielostronną, powiedziałbym przemienną, mogącą się zmetamorfozować co godzina. Prawdziwy poeta musi w sobie nosić świat cały, całą rozmaitość istot i stworzeń, całego człowieka ze wszystkimi jego odmianami. Poeta musi być razem krytykiem, niedowiarkiem, zapaleńcem, twórcą oszalałym w natchnieniu, a nieubłagany sędzią w chwilach rozważa, musi czuć za wszystkich i najróżniej — musi, jednym słowem, w ducha swego głębiach piastować świat cały.

Marjan jakby ugodzony tym aforyzmem, który mu obuchem spadał na głowę — pochylił ją w pokorze.

— Masz słuszość, rzekł. Jednakże i głosów z zewnątrz słuchać potrzeba, choćby dla tego, ażeby wiedzieć nastrój godziny.

— Godziny? podchwycił Adrian — godziny? Poeta wielki powinien być wieszczem nie dni, ale wieków, głosem nieśmiertelnej prawdy i piękna. Cóż mu godzina, choćby los najgorszą przeznaczył?

Mówiąc to ruszył ramionami, i przybierając twarz weselszą, zbliżył się do siedzącego.

— Miałeś słuszość — rzekł zmienionym głosem — teraz nie pora mówić o tem. Ale ty — z kąd się tu wzięłeś? dokąd dążysz? co robisz? Sam jesteś? z kim? na długo? Chcę od razu wiedzieć wszystko.

— A ja na wiele z tych pytań nie potrafię ci dać odpowiedzi — odezwał się Marjan z wahaniem. Prowadziłem dotąd życie nieco awanturnicze, rozpasane. Nie mając poematu w duszy, biegałem za tem co ludzie dziecinnie szczęściem nazywają. Pogoń ta, naturalnie, skończyła się, albo raczej przeplotła (bo ja jej za skończoną nie mam) zawodami, rozczarowaniem, nudą, dobrze, że nie rozpaczą...

Jedząc, bo w domu usiedzieć jest dla mnie niepodobieństwem...

We Włoszech bawię już dość długo; zostanie? nie wiem, może lata całe, może dni kilka. Nie zwykłem się wiązać niczem, nawet projektami własnymi. Miałem już myśl powrotu ku państwu Boreaszów i Austrów, ale ciebie tu znajduję — no, i nie już nie wiem, oprócz, że chcę być z tobą, dopóki mnie nie odpędzisz.

Adrian go uściśnął, przyjaźń stawiała się *primo impetu* nadzwyczaj gorącą i wielką.

— Ale ty dla mnie, zawołał, jesteś deską zbawienia — ja konałem ze znużenia i samo-

tności. Miałem z sobą matkę, która mnie opuścić musiała; zostałem sam, jestem jak dziecko nieopatrzone, roztargniony, bezsilny. Ale — gdzież mieszkasz? dodał Adrjan — jesteś tu w odwiedzinach, czy?...

— Stałem tymczasowo ztąd o trzy kroki u Tramontany, zawołał hrabia, gdzie ty jadasz. Przybyłem z Neapolu, z razu ze śmieszną myślą dostania się na Capri.

Na wspomnienie wyspy Tyberjuszowej. Adrjan potrząsł głową.

— Capri bo wcale śmiesznem nie jest — odparł; — to olbrzymi stos gruzów rzucony wśród morza — ludność wygląda jak widma greckich posągów. Na Capri umieściłem jeden z epizodów mojego poematu.

— A! zdradziłeś się — z uśmiechem rzekł hrabia — poemat więc jest z dziejów starożytnych Romy!

— Mylisz się — odparł z uśmiechem także poeta, — poemat jest z dziejów ludzkości całej, z nad brzegów Gangesu przesuwa się mieniając barwy aż nad Wisłę, olbrzymim węzłem o łuskach tęczowych pełznąc przez Niniwę, Jerozolimę, Nil, Tybr, Rodan...

Rzucił ręką gwałtownie.

— Poemat mój w objęciach swych trzyma świat cały, i śpiewa dzieje ludzkiego ducha aż do chwili obecnej.

— Olbrzymich sił potrzeba było, aby się o coś takiego pokusić! szepnął Marjan.

— Olbrzymiej odwagi, tak — kończył Adrian; olbrzymich studjów i olbrzymio spotęgowanej intuicji.

Nabycie władzy, by móżdż na zawołanie co-raz nowym wcielić się Owatarem, było najstraszliwszą pracą ducha. Wszystko ginie i maleje obok walki, jaką z naturą własną staczać było potrzeba zmuszając ją do wyrzeczenia się samej siebie, nie wyrzekając się życia — do zapierania się własnej myśli, do przywdziwania szaty coraz nowiej, często krępującej, ciasnej, w żelazne kleszcze zamykającej szersze nad nią ramiona.

Wystaw to sobie, mózg olbrzyma wcisnąć w główkę muchy? Aby ta mucha mogła w poemacie brzęczeć jak należy, mózg i życie własne w nią wdusić było potrzeba!...

Gdy to mówił, oczy mu pałały, a przekonanie głębokie, z jakim swe teorie głosił, podziało nawet na sceptycyzm hrabiego. Usposobienie ironiczne, które przyniósł z sobą, topiło się jak lód — od gorących słów Adriana. Słuchał zdumiony.

— Jeżeli nie warjat! — powiedział w duchu.

Adrian się zapalał.

— Pojmujesz ty człowieka — począł mówić z ogniem coraz większym — człowieka, który

zaledwie ubogą minutę ma prawo być sobą? Musi trupać skórę największych zbrodniarzy wdziawać na swe żywe ciało, musi oddychać zatrutą atmosferą nikczemności, szalu, głupoty, a potem stać się czystym aniołem lub dziecicciem w kolebce, musi zarówno zrozumieć, wcielić się w zwierzę, bóstwo, kamień. błoto... Inaczej nie byłby poetą!

Nieraz słyszałem utyskiwania nad losem tych nieszczęśliwych kuglarzy, co łamane wyprawiając sztuki, ciało swe poddają najstraszniejszym nienaturalnym wykręcaniom. Cóż powiedzieć o poecie, którego dusza musi stokroć boleściwsze zwichnięcia dobrowolnie znosić?

Marjan milczał jakby przestraszony. Adrian wypowiedziawszy to z boleścią, zwrócił się ku oknu. Rozmowa z tego tematu dalej już iść nie mogła, znużyła obu do niej nieprzygotowanych.

— Możesz się zabić tym poematem — odezwał się po namyśle Marjan. — W interesie nawet dzieła twojego jest, aby sił oszczędzać i myśli dawać wytechnienie; czasami zapomnieć o tem, że się jest wieszczem natchnionym.

To mówiąc wstał uśmiechnięty.

— Trzeba czasem zdziocinnieć i nie być tak do zbytku poważnym a rozumnym. Powinieneś się pobałamucić, rozerwać. Chcesz? Ja ci choć do tego dopomagać jestem gotów, bo się na nic innego nie zdam.

Adrian chwilę wahać się zdawał.

— Nie wiem — rzekł — czy to możliwe, choćby było zdrowem i orzeźwiającem.

— Dlaczego? powinienesz spróbować!

Poeta ruszył z lekka ramionami.

— Zobaczymy — odparł cicho — ja już jestem, oprócz tego, zem okaleczał na duchu od tej pracy — istotą obrzydliwie znałogowaną. Jak pijak, choć go napój zabija, ciągnę do tej trucizny, potrzebnej mi już, stanowiącej pokarm, będącej we krwi, w ciele, we wszystkich tkankach istoty mojej. Wiesz, że gdy więźniów, co w mefitycznym długo zamknięci byli powietrzu, na świeże wywiodą — umierają.

Gospodyni usłyszawszy nazbyt ożywioną rozinowę, a pamiętając o powierzonym sobie nad chorym dozorze, niespokojnie parę razy przeze drzwi zajrzała. Adrian uśmiechnął się do niej, odprawiając ją ręki skinieniem.

— No — a gdzież jemy śniadanie? u Tramontany? nie prawda? zapytał hrabia.

Adrian zawahał się, jakby się namyślał czy ma odpowiedzieć otwarcie; — zaczynał mówić i milczał — wreszcie rzekł porywczo, nagle się decydując:

— Weszliśmy od razu po tylu latach niewidzenia, kochany hrabio, na ton tak poufałych zwierzeń, że dla ciebie żadnych tajemnic mieć nie chcę. Zrozumiesz mnie... Do Tramontany nie pójdę.

Hrabia wyczekując tłómaczenia, w milczeniu ścisnął go za rękę. Dziękował za zaufanie.

— Ja temu poematowi, mówił Adrian powoli, poświęciłem wszystko, aż do najdroższych marzeń życia. Serce moje potrzebowało i potrzebuje serca, wyrывało mi się i wyrывa z piersi. Jak krwawe jelita rannego na placu boju, tak ja nazad je wpycham do piersi. Kochałem się, byłem kochany — zerwałem raz związek serdeczny, który mi mógł dać szczęście, aby nie przestać być poetą. Miłość i poezja są obie zażadne, dwom im służyć nie można, choć są jak siostry podobne i często jedną za drugą wziąć można. Ale to o czem mówię, są już stare dzieje. Odbolałem je...

Młodość znowu upomina się o zaparte prawa swoje...

U Tramontany spotykał się — z pewną Angielką... miss Rosą... Czuję, że pokochałbym się w niej, bo mnie siłą nie wiem anielską czy szatańską ciągnie ku sobie. Muszę jej unikać, bo bym się stał krzywoprzysięzcą przeciw sobie. W chwili gdy moje usta spotkałyby się z jej ustami — umarłbym jako poeta...

Marjan dosłuchawszy do końca, rozśmiał się głośno.

— A! zawołał: najfałszywsza teoria w świecie. Mylisz się! Miłość? to kastalskie źródło, ona daje natchnienie.

— Tak! ale miłość nieszczęśliwa, miłość bez nadziei — eteryczna, platoniczna! przerwał Adrjan.

— Ale cóż znowu! miałażby Angielka być tak niebezpieczną, by cię aż z platońskich sfer wyciągnąć chciała? Rozśmiał się Marjan.

— Nie rozumiesz mnie — podchwycił marszcząc się Adrjan... Miss Rosa jest aniołem przeczystym, ale ma dla mnie urok szatański. Czuję, że poddawszy się uczuciu, które mnie ciągnie ku niej, popadłbym w szal, w namiętność.

Poeta strzepnął rękami, i jakby uciec chciał od ostateczności, którą przewidywał — poskoczył ku oknu.

Marjan stał, przypatrując mu się z pewnem zdumieniem.

— Przyznam ci się — zakończył — że dla mnie najpiękniejszy w świecie poemat, życia wart nie jest. Gdybym się dla przeistoczenia w nieśmiertelnego wieszacza wyrzec miał człowieczeństwa, miłości, kobiet, nadziei jedynej na ziemi chwili jaśniejszej, choćby tylko szalu namiętności — zdeptałbym aureolę nogami, a wołałbym być prostym parobkiem i na zabój kochać się w Kaśce.

Z politowaniem uśmiechnął się słuchając Adrjan.

— Mój drogi, rzekł zimno: zdaje mi się, że to co my śmiertelni prawimy o naszej wolnej woli i wyborze losu, jest czystem rojeniem

miłości własnej. Nikt się nie czyni tem, czem jest, ulegamy prawu niezbląganemu, przynosimy z sobą na świat losy nasze...

Ty jesteś takim jakim być musisz — ja także. Choćbym chciał nie być sobą, nie mogę...

Hrabia popatrzał nań, jakby już dłużej badać go nie potrzebował.

— Wiesz co? rzekł po chwili: jeżeli ci ta niebezpieczna miss Rosa niedopuszcza iść do Tramontany, u którego przynajmniej je się nie zbyt po włosku, ale po ludzku, i z tarasu jego widok nieporównany — weźmy osiołki i puśćmy się — ot tak, na los szczęścia, gdzieś w góry, w wąwozy — gdzie ci się podoba... Ja głosuję za Castellamare. W razie konieczności, ponieważ gościńce po nocy nie są bardzo bezpieczne, czemubymy nie zanoowali pod kasztanami w gospodzie?

Adrian nim się zebrał na odpowiedź, otworzył drzwi na balkon i popatrzał po okolicy. Dzień był pogodny, białe, bawełniane chmurki pływały po niebie.

— Dobrze — odezwał się — jedźmy. Pozwolisz mi tylko zabrać z sobą arkusz papieru. Któż wie! czasem w drodze najdziwniej, najniespodzianie, z pośrodku dwóch uśmiechów łzawy wiersz wytryska...

— Nic nie mam nawet przeciw całej librze papieru — odparł hrabia — choćbym ją miał

sam nosić za tobą. Za to, spodziewam się, że jeśli mnie los przy narodzinach jakiego epizodu u jego kołyski postawi, pozwolisz zajrzeć w oczy nowonarodzonemu.

Adrian potrząsnął głową.

— Tego nie żądam odepnie, proszę. odezwał się cicho i załośnie. Może przyjsć chwila, gdy mi się coś z piersi mimowolnie wyleje, ale tak na zimno, recytować, czytać — a! nie mogę! nie mogę!

Nie nastawał hrabia, był niesłychanie powolnym. Adrian zwrócił się ku drzwiom powołując signorę Costę, aby poszła po osiolki, o które nigdy nie trudno w Sorrencie. Na szczęście właśnie z Castellamare wracali przewodnicy weseli, którzy rodzinie jakiejś towarzyszyli do Sorrenta; signora Costa z okna tylko zawołała na znanego sobie, z jednym okiem przy-mrużonem, z piersią na bronz opaloną Toniego, i natychmiast długouche stworzeńka przyparły się już do zamkniętej bramy, którą chłopak bosy pobiegł im na oścież otworzyć.

Ośłów było aż za wiele, do wyboru, a oprócz Toniego, kawałek lazzarona oszarpanego, w czapce czerwonej na głowie rozczochranej, z potężnym kijem do poganiania...

Z kilku rysów pobieżnie rzuconych czytelnik mógł już poznać bohatera, takim przynajmniej, jakim się on pospolitym widzom wydawał z daleka.

Obraz to jednak niewypełniony, słabo tylko malujący postać do określenia i osądzenia trudną. Adrian — był — istotą wyjątkową. Młodość jego przypadła właśnie na tę chwilę gdy u nas poezja się rozbudziła z siłą młodego pączka co okrywającą go pochwę rozsadza. W tych latach gdy wszystko na człowieka najsilniej działa, on pił tę wiosenną pieśń jeszcze świeżą, szumiącą, młodą, nową — upajającą. Przypadek wrażliwemu dziecięciu dał za nauczyciela jednego z tych ludzi serdecznych, z jednej bryły wykutych, stworzonych do uwielbiania, potrzebujących coś czcić, nad czemś się unosić i kochać.

Dziecko przejęło od niego cześć dla poezji pierwszą, pojęcie jej boskiej genezy i znaczenia; rozgorączkowało się nią pod jego okiem, i przedwcześnie żyć w niej zaczęło.

Ta upajająca ambrozja wypita na czczo, na zaraniu życia, wpłynęła dziwnie na cały ustrój człowieka. Adrian zawczasu przestał być dzieckiem — poczuł się poetą.

Z tą myślą, że był predestynowany, wyznaczony na poetę — poczęło się razem wynikłe z charakteru, może z warunków wychowania ukochanego jedynaka przez matkę — pragnienie

osiągnięcia najwyżej zawieszonego wienca. Nie dosyć mu było poetą być, chciał być największym z poetów. Miłość matki, jej uwielbienie dla dziecięcia dały mu pierwszą otuchę. Instynktem potem odgadł, iż chcąc osiągnąć cel wielki, potrzeba mu się było całkowicie poświęcić.

Zupełnie anormalną jakąś istotą wyszedł z tych pierwszych muzy uścisków. Byłoby to może wszystko spełzło na śmiesznym jakimś zawodzie, gdyby ów pocziwiec, nauczyciel, człowiek rozumny choć zapalający się i do entuzjasmów skłonny — na samym wstępie nie oświadczył uczniowi, iż wprawdzie Bóg geniusz daje, ale praca go wypiastruje i żywi. A choć piastunka ta czasem może w namiętnych uściskach udusić wychowanka — lecz bez niej ów ani latać, ani by nawet chodzić się nie nauczył. Wpoił to Adrianowi, że dziś zwłaszcza poeta, aby stanąć na wysokości swojego wieku, oprócz natchnienia mieć musi świadomość wszystkiego co świat i poezja przeżyły od doby dzieciństwa, do dziś dnia.

— Naśladować nie potrzeba nikogo, — mówił stary Sieniuta do ucznia swojego, — ale znać potrzeba wszystkich choćby dlatego, aby nie powtarzać wyśpiewanej pieśni, i nie być poetą umarłych.

Należy tu słówko temu oryginałowi, który był pierwszym, a może jedynym nauczycielem Adrijana.

Sieniuta na pozór prosty człek, z rodzaju tych, których gmin pospolicie filozofami nazywa, był niepospolitym oryginałem. Nauka ogromna łączyła się w nim z tem niewygasającym ciepłem wewnętrznem ducha, które ją czyni płodną. Prawdziwy miłośnik mądrości, ów Sieniuta duchowym przyjemnościom święcił wszystko. Zdawał się umieć co tylko pojmuje, a uczył się nieustannie. Każde nowe dzieło, w którem była choć iskierka jasna, rozgorączkowały go. Co miał tracił na książki, o resztę dbał niewiele.

Powierzchnowości niepozornej, ogromnego wzrostu, silny, z głową kwadratową, wielką na grubej szyi, z twarzą rysów niczem się nie odznaczających, i raczej brzydkich niż regularnych, — gdy mówił, gdy się ożywił, nabierał takiej powagi, takiego wdzięku, iż mało kto wpływowi jego mógł się oprzeć. Ustępstw światu ze swych przekonań i obyczajów nie czynił żadnych, bo prawda we wszech swych objawach była dla niego rzeczą świętą, i wykroczyć przeciw niej uważał za świętokradztwo — lecz nie było przytem łagodniejszego nadeń i wyrozumialszego na wszelkie aberracje człowieka.

Jeśli usiłował nawracać, to z miłością taką, z serdecznem przejęciem, iż jeśli nie przekonał, przynajmniej nie odstręczył i nie naraził sobie nikogo.

Do Adrijana przywiązał się jak do swojego dziecięcia, i byłby go może nie porzucił nigdy,

gdyby nie został odwołany wypadkiem, z którym związana dlań była idea najświętszego obowiązku.

Jak samo nazwisko powiada, Sieniuta należał do starej rodziny, której szereg jeden zubożał zupełnie. Stryjeczny brat profesora, mało mu znany, u ktorego na łasce być nie chciał, miał bardzo znaczne majątności na Rusi. Kilkakroć zapraszano go tam, usiłowano przytrzymać, ale stary się na swobodę wyrывał, rezydentem być nie chciał. Brat ten stryjeczny nagle zachorowawszy, zmarł zostawiając żonę i synaczka, których testamentem profesorowi polecił.

Musiał więc Sieniuta opuścić Adrijana, aby spełnić obowiązek krwi i służyć rodzinie. Co się z nim stało, ledwie wiedział wychowaniec. Z początku listy przychodziły, potem gdy poeta się parę razy w odpowiedziach zaniedbał, Sieniuta zamilkł. I tak już od dawna nie wiedzieli o sobie. Ze wszystkich jednak może bliższych poeta po matce najwięcej kochał nauczyciela, tęsknił prawie do niego. Brakło mu go niekiedy; — czuł wyższość tego ducha tak skromną odzianego szatą, a tak szeroko sięgającego wzrokiem...

Posłuszny mu Adrijan uczył się chciwie i wiele, a że pojęcie miał łatwe, pragnienie wielkie, nie sięgając zbyt głęboko, przebiegł szybko przestrzenie ogromne.

Jak każdy, którego monomania opanuje, szukał w swych studjach przeważnie poznania wa-

runków, w jakich poeci się rodzą, rozwijają, objawiają światu — chciał tajemnicę natury podpatrzeć. Studja w tym kierunku, nie doprowadziły go do niczego. Znalazł, że poeci i poezje rodziły się jakimś dziwnem, niedocieczonem prawem, tam gdzie się ich najmniej spodziewać było można. Zmuszony więc był widzieć w nich raczej tajemniczych zesłańców jakiejś nadziemskiej potęgi, niż rezultaty czysto ziemskich i ludzkich warunków bytu.

Utwierdziło go to w poczuciu siebie samego poetą. Słyszał wewnątrz duszy głos Dajmona, który mówił doń: — Wstań a idź, rzuć wszystko! jesteś powołany! — Temu rozkazowi nie myślał się opierać; starał się tylko wybadać, zrozumieć, co mu czynić należy, aby misję swą spełnił?

W młodzienczych wyobrażniach ludów i ludzi wielkość się zawsze przedstawia najprzód nie jako doskonałość w drobnem, ale jako rozmiarami potężna olbrzymiość. Adrjan więc chcąc być poetą wielkim, powiedział sobie, że musi stworzyć poemat w rodzaju tych indyjskich, których pieśni się liczą na seciny, a wiersze na sta tysięcy.

Tak samo zupełnie Lamartine w pewnej chwili życia swojego, gdy Medytacje dały mu poznać, że jest poetą, chciał się stać olbrzymem poezji, kreacją sturamienną — która później w głowie jego zamarła.

Adrian miał talent niezaprzeczony, może istotną iskrę geniuszu nawet — wszystko się na to składało, aby ona w jasne płomień rozgorzała. Sprzyjało to nawet przyszłemu poecie, że o doskonałość się kusząc, z próbami w początku nie-dojrzałemi się taił; częstokroć się nie dawał poznać nikomu i nie zrażany niczem, z ufnością w siebie szedł coraz bardziej upajając się natchnieniem i potęgując je w sobie.

Była to chwila, gdy poezja byronowska panowała światu, — choć nie i z dawnych poetów nie było obce Adrianowi — te pieśni, w których drgało uczucie rozognione i myśl wieku żywa — najsilniej nań podziałać musiały. Młodość czyniła to nieuchronnem. Wpływ jednak byronowski raczej nieświadomie, niż z wiedzą jego i wolą, działał na młodego poetę. Nie przyznawał się do tego sam przed sobą.

Wielki poemat Adriana, w jego pojęciu, miał daleko prześcignąć angielskiego wieszczą. Chciał w nim całą ludzkość pomieścić, całe jej dzieje, nie domyślając się tego, iż słońce całe odbija się w kropli wody, a na ogromnych bagnach blask jego rozlany słabnie.

Olbrzymie zadanie równie wielkich ofiar wymagało. Poeta był do nich gotów. Widzieliśmy go, mimo miłości dla matki, nawykłego patrzeć na nią, obchodzić się z nią jak z pomocnikiem przy budowie. Sprawy majątkowe, powszednie, położenie własne w świecie rzeczy-

wistym, przyszłość nie obchodziła go wcale. Miłość ku Leni złożył tak samo na ofiarę Dajmonowi, jak wszystko co stanowiło właściwe życie.

O tyle je w sobie chciał podtrzymać i podsycać, o ile ono miało wydać owoc pożądany. W sobie widział tylko naczynie, z którego świata boski napój miał popłynąć.

W początkach postępował tak opanowany uczuciem — potem przeszło ono w system i rachubę, w trwożliwą pilność nad samym sobą, aby się postanowieniu nie sprzeniewierzyć.

Chwilami bowiem chwytaly go do życia tęsknoty, pragnienia innych nasyceń — którymi krew, temperament, naostatek choroba z pracy i nateżenia myśli wynikała — dopominały się praw swoich.

Adrian w pełni wieku był wycieńczony, rozdrażniony, a zajęcie ciągłe samym sobą wprawiło go w rodzaj bałwochwalstwa. Nie było dla niego droższego nic nad ten źródło, z którego poezja wytryskała.

Tymczasem źródło ten płynący niekiedy strumieniem wielkim, z siłą potężną — chwilami już wysychał. Poeta czuł się wystygłym, zniechęconym, powiedzmy jaśniej, niezdolnym do niczego.

W tych momentach osłabienia i znużenia, gdy się sam nie poznawał — rozpacz go ogarniała. Zniecierpliwiony, przelekły, instynktowo

chwycił się ladajakich środków podbudzających życie, które wprowadzie krew pędziły żywiej, ciało chwilowo czyniły na pozór rzeświejszem — ale na umysł, na tajemne źródło natchnień nie działały.

Już w domu miewał Adrjan te dui prostracji i niemocy. Gdy matka mu o podróży pierwszy raz wspomniała, chwycił się tej myśli sądząc, że wrażenia nowe dadzą mu natchnienia silniejsze. Nie zawiodło go to w początkach, bo i widoki i wrażenia, rozrywka, podróż, powietrze, zmiana życia, odmłodziły go. Poczuł się mocniejszym i korzystał z tego, aby poezję, którą dla niego promieniały nieznane kraje, wnet ująć w słowa. Pisał więc wiele w Szwajcarii i we Włoszech, pisał nieustannie.

Po niejakiem czasie i tu wrażenia osłabły, kraj, obrazy, ludzie nie działali jak w pierwocinach. Adrjan siebie o to obwiniął i miał słuszość. Stawał się coraz ostyglejszym, mniej przyjmującym od świata zewnętrznego — był znużony.

Spoczynku się lękał, myśl poddawała mu różne środki odżywiania, przywrócenia dawnej żywości młodzieńczej; sam nie wiedział czego się chwycić.

Miłość — czyli jakieś uczucie nieokreślone, w którym i krwi ducha było wiele — miłość dla pięknej miss Rosy, która w istocie młodym po-



etą mocno była zajęta — na krótko go tylko zelektryzowała. Uląkł się jej zaraz...

Poemat nie był skończony!

Wolał więc jako podbudzającego lekarstwa użyć podróży na Wschód.

Niezdecydowanym, niepewnym, smutnym stało go przybycie hrabiego Marjana i stało się czemś odżywiającem.

Pierwszy raz uczuł, że myśl podzielona, poddana rozbiorowi, nawet krytyce, płodniejszą się stać mogła, niż zamknięta w sobie.

Rad był temu przyjacielowi, i zażądał mieć w nim powiernika. Przychodził mu w godzinie zwątpienia jak opatrnościowo zesłany, a poeta skłonny był bardzo wierzyć w to, że się nim wyższa jakaś opiekuje siła.

Wyprawa do Castellamare, obudziła w nim dawną niebywałą wesołość, a signora Costa, która go widywała przy matce najczęściej zasępionym, ponurym, uradowała się zobaczywszy tak ożywionym i młodym.

Hrabia Marjan, jak ludzie wielkiego świata, miał ten przymiot nieoceniony, że nawet przy najdzikszem usposobieniu, w humorze najkwaśniejszym, umiał być wyśmienitym towarzyszem, a w potrzebie roztrzępalcem.

Wyjeżdżali drogą nową, którą właśnie wówczas knto w skałach i kończono, gdy flutowaty Toni, wołąc jechać cieniem, kasztanowemi

lasami, wniósł, aby dla chłodu skrócić w góry na prawo. Ręczył, że i tak zawczasu staną w Castellamare; a był zgodzony od godzin. Dla zachęty dodał, że niedawno z Sorrenta, tąż samą drogą przez Monte-Cupolę pojechali inni forestjery do Castellamare.

Zgodzono się na co chciał.

Podróżni poświęcili nawet wędrownce tej śniadanie i na prędce podany fiascon wina, ser, chleb, salami uznane zostały za dostateczne do nakarmienia przed obiadem u celu podróży. Zapalono cygara i spoglądając na cudną zatokę u stóp ich na lewo rozłożoną jak płaszcz turkusowy, na dymiący Wezuwiusz w dali, na miasteczka jakby wieńcem obrabiające wybrzeża, dwaj przyjaciele pod wodzą wesołego przewodnika, który resztę fiasca wysuszył, puścili się ku Monte-Cupoli.

Adrian z wielką swą pociechą uczuł się nie równie silniejszy niż z rana, gdy w swej willi leżał na kanapie, umierając ze znudzenia. Świat mu się jakoś uśmiechał, po głowie już chodziły jakieś urywki epizodu, nad którym właśnie pracował.

Irabia Marjan niedomyślający się wcale, że monoman już, powróciwszy do życia, wracał do nałogu wierszowania; — począł rozmowę wcale z innego tematu.

Z Adrianem można było mówić o czem

chcąc, a zawsze się musiało skończyć na poemacie...

Hrabia go zagadnął o miss Rosę.

— Jesteś bo okrutnym, nielitościwym, odezwał się — Angielce dałeś czas i sposobność zakochania się w tobie, a teraz, nagły strach, aby miłość nie pożarła poezji, każe ci ją odtrącić.

— Przepraszam — odparł Adrjan — o miłości między nami nigdy mowy nie było. Oczywiście rozmawiały dużo, pozwalały sobie wiele, ale usta trzymałem zamknięte na siedm pieczęci. Rozmawialiśmy o Shelley'u, o Byronie, o Walter Skocie, o Shakespearze — o niczem więcej.

— Angielka piękna? — spytał Marjan ciekawie.

— Tak jak tylko córki Albionu być umieją — odparł Adrjan — idealnie piękna! Dodaj do tego, że jest sierotą, zupełnie swobodną, a umysł ma daleko śmielszy i więcej wyemancypowany niż zwykle rodaczki jej miewają. Dwudziestokilkoletnia zaledwie podróżuje sama, z jakimś chaperonem milczącym, i zapalczywie albumy napełnia zachwycającymi akwarelami.

Oprócz tego muzykalna, wirtuozka i dusza artystyczna w całym znaczeniu wyrazu.

— Z ciebie prawdziwie szczęśliwy człowiek — wykrzyknął Marjan — los ci sam zsyła taki ideał, z którym dobrze poprowadzony ro-

mans innemuby na cały rok dał się czem upajać najrozkoszniej, a ty... niewdzięczny!

— Ja nadewszystko kocham mój poemat — na pół żartobliwie, pół serjo odparł Adrjan — poemat przedewszystkiem — noszę w łonie dziecię moje! Mówilem ci: poezja jest najzazdrośniejszą z kochanek; a że dla mnie ma wdzięk, który jest odblaskiem Bożego oblicza — poświęcam jej wszystkie Rosy w świecie.

Westchnął jednak.

— Jest w tem, dodał, wiele wyrachowanej ostrożności z mojej strony — boję się sam siebie. Tak jak teraz miłuję poezję, zdolnym bym był kochać i kobietę. Naówczas wszystko stracone — dziesięć lat męczarni poszłoby na ogień i śmiecie. Zginałbym w jej objęciach.

— I byłbyś tylko po prostu najszcześliwszy z ludzi — dodał Marjan trochę szydersko. Dali-pan, że i to coś warto!

— Na jak długo? zapytał Adrjan. Wszystko na świecie ma trwanie ograniczone. Miłość gwałtowna, namiętna trwa krócej jeszcze niż inne uczucia.

— A poezja — wtrącił śmiejąc się Marjan — jest nieśmiertelną.

Trochę ironji przebiło się już w głosie Marjana, Adrjan zamilkł nagle. Osiołki popędzane gramoliły się ciężko pod górę, to przyspieszając po trosze kroku, to zwalniając go, gdy nad sobą nie czuły gałęzi stróża...

— Masz więc wolną i nieprzymuszoną wolę, począł Marjan znowu, ucieczką się ratować od czarodziejki. Rozum nad wiek, rachuba nad pojęcie przebiegła, siła nad wszystkie wieku młodzieńczego instynkt. Uwielbiam — ale, proszę cię, powiedz, dokąd uciekać mamy, bo ja z tobą! Ja uciekam też, ale przed śmiertelnymi nudami, które w sobie noszę, chcę je gdzie pogrzebać lub utopić.

— Dokąd? nie wiem — rzekł Adrian — miałem niezmierną ochotę być na Wschodzie.

— Nie radzę — odparł Marjan, po co szukać rozczarowania? Ten Wschód, który masz w swej wyobraźni, wcale nie jest podobny do rzeczywistego. Stracisz co masz, a zyszczesz zawód i niesmak. Przytem sama podróż nużąca i niewygodna, działająca zapachami i wrzawą na nerwy fatalnie. Do poezji z niej nic nie wzięć, chyba koloryt krajobrazu.

— Ale, mój drogi, zawołał Adrian — przepraszam cię. Nawet to co niecierpliwi, jątrzy, drażni, co męczy, może żyłkę jakąś spiącą obudzić.

— Woda okropna, dająca dyarję, słodyczne nudne, olejek różany prześladowe na każdym kroku pomieszany z cebulą... Słońce w głowę piecze do warjacji, piasek zasypuje oczy — słowem okropny kraj — dodał Marjan...

— Ależ człowiecze! przerwał Adrian — Ka-

ir, Piramidy, Ateny, Jeruzalem, Palmira, pustynia, Bednini...

— Wszystko to strasznie oklepane rzeczy — przerwał hrabia — lepsze daleko w książkach i obrazach, niż w rzeczywistości. Powiadam ci, więcej odczarowujących niż czarnjących motywów. Ja tej podróży nie radzę. Mamy do włączeni ogromne Włochy, mnóstwo kątów prześlicznych, równie jak na Wschodzie śmierdzących i nie wygodnych, ale z których daleko łatwiej się salwować gdy się nprzykrzą. Ja wotuję za Włochami.

— A bryganty?

— Ci przynajmniej gdy pochwycą dają się okupić, gdy na Wschodzie Giaurowie się od razu zabijają.

— Strachem mnie nie przekonasz i nie weźmiesz — rzekł śmiejąc się poeta: trochę niebezpieczeństwa dodałoby mi owszem do podróży smaku.

— Trochę — tak — ale w miarę... dokończył Marjan. Na dziś dajmy temu pokój; stokroćby mnie więcej zajęło, gdybyś był tak wspałałomyślnym, szczodrobliwym, łaskawym i obdarzył mnie choć jakimś pojęciem, choć cieniem, widmem twojego poematu.

Mówił to gdy właśnie byli na skrajcu drogi wijącej się kapryśnie ku górze. Adrian ruszył ramionami, zwracając się ku przyjacielowi z twarzą wyrażającą zdziwienie i zakłopotanie, gdy

widok nowy uwagę ich od tego drażliwego tematu odwrócił.

Przed nimi drogą tą samą jechał z wolna na osiołku mężczyzna słusznego wzrostu, którego tylko długie nogi aż ku ziemi zwieszone i na ramionach siwe rozwiane włosy widać było. Poły surduta wiatr podwiewał, tak, że niby dwoje skrzydeł z dwóch stron się podnosiły. Jedną też rękę wzniesioną miał do góry, a w niej trzymał małą książeczkę, w którą włożony palec za zakładkę służył. Jechał powoli, oglądając się, nasycając widocznie, używając i smakując. Właśnie z tego miejsca, po nad kłębami zielonemi drzew widać było sine morze leżące spokojnie i Neapol w dali. Widok był zachwycający; siwowłosy mężczyzna zatrzymał osiołka i napawał się widokiem z rozkoszą.

Marjan, mający zawsze ochotę prześmiewania, wziął samotnego podróżnego za Anglika, książeczkę jego za Murraya, i począł drwić głośno, ale po polsku z wyspiarzy, którzy bez niańki tej drukowanej, kroku zrobić nie umieją.

W tej chwili podróżny jakby mowę zrozumiał, czy głosem zbyt szyderskim był uderzony, odwrócił powoli głowę ku jadącym, którzy się zbliżali ku niemu, i ukazał im twarz starą, niepiękną, ale taką powagą i spokojem namaszczoną, tak olimpijsko wypogodzoną, iż hrabiemu śmiech zamarł na ustach.

Na widok starca Adrjan drgnął i pobladł. On też zdawał mu się przypatrywać, nie jak pięknemu nieznajomemu, ale jakby komuś, w kim niby poznawał dawno niewidziane oblicze...

Nagle poeta ręce wyciągnął.

— Miły Boże — zawołał — czyżby mnie to szczęście spotkać miało?.. Sieniuta!

Usłyszawszy nazwisko, stary jakby młodych sił nabraw, skoczył ze swego osiołka, krzycząc prawie płaczliwym głosem:

— Adrjan! ty! Adrjan!

W zupełnej nieświadomości kto był Sieniuta, hrabia pozostał na swym osle, i obu rękami podparłszy się na siodle, patrzył na niebieską zatokę.

Dziwne to spotkanie, jakoś go wcale nie bawiło; odbierało mu Adrijana, którego na wyłączną własność chciał zagarnąć.

Tymczasem nauczyciel z uczniem ściskali się wzruszeni, nie mówiąc słowa, a niespokojne oczy starca badały owego młodzieniaszka dawnego, na którego licu dziś długa praca i życie gorączkowe straszne niemal zostawiły ślady.

— Ale jakimże sposobem!! wołał Adrjan— zkaż ty tu, profesorze?

— Ja, mój drogi, począł z wolna Sieniuta— ja, ruina, przywlokłem się patrzeć na ruiny, i odżyć trochę pod tem słońcem i tem niebem cudownem...

Sierotą zostałem po moich — dodał — wszystko mi wymarło czem żyłem, przyszedłem tu szukać zapomnienia — życia trochę... Grosza mi się zostało aż nadto, ludzi nie — gdyby nie nauka i nie poezja, jużbym i ja poszedł dawno do grobu.

Westchnął ocierając zwilżone oczy. Marjan stał tak blisko, iż Adrian uznał za właściwe zapoznać go z Sieniutą.

— Mój najpierwszy i jedyny nauczyciel, któremu winien wszystko! rzekł wskazując starego — mój jedyny i najlepszy przyjaciel młodości, hrabia Marjan.

Nieznajomi powitali się grzecznie z daleka nie zdając się okazywać zbytnej chęci zbliżenia się ku sobie.

— Zatem razem do Castellamare! wesoło dodał Adrian, jeszcze raz ściskając profesora.

Spotkanie to, jak prawie wszystko co się Adrianowi w życiu trafiało, jak z rana ukazanie się Marjana, poeta na rachunek Opatrzności opiekującej się nim wciągnął swoim zwyczajem. W istocie w dwóch tych jednego dnia wypadkach, można było upatrzeć opiekunczą rękę Anioła Stróża, który nie dawał Adrianowi zamęczać się samotnością. Marjan zdał mu się wybawicielem — stary profesor zjawiał się jako pocieszyciel, jako druga matka troskliwa.

Radością też promieniowała twarz Adriana, gdy teraz w gronie już dwóch towarzyszków, o-

toczony dworem, — puścił się dalej z nimi ku Castellamare. Profesor niezbyt mowny, z rozrzwiniem na dawnego ucznia spoglądał, wyczytując z jego twarzy przeżyte dzieje. Marjan, którego humor zmieniał się, duma i ironia na wierzch wystąpiły, jechał sztywny i milczący — nie swój, niemal zazdrosny o Adrijana.

Rozmowa się zawiązać tak prędko nie mogła, choć poeta do niej większą okazywał skłonność niż zwykle. Rad się był przed starym pochwalić sobą, poematem, dojrzałością, myślami — wielkością swoją, — posądzał bowiem Sieniutę o zupełną nieświadomość wypadków, które go się tycząły.

Profesor ochłonawszy z pierwszego wzruszenia, jechał uspokojony, pogodny, to zachwycając się krajobrazem, to wlepiając w ucznia oczy. Marjan przypatrywał się obu szydersko trochę. Sieniuta wydawał mu się śmiesznym, gdyż hrabia stronę śmieszoną chwycił najłatwiej i najpierwej; powaga, z którą występował, nie wiele się troszcząc o hrabiego, będącego pod bokiem — drażniła go.

Pilno mu było dać się poznać, i to z takiej strony, aby „pedant“ musiał dla niego być z respektem.

Jechali tymczasem, gdy Adrijan równie niecierpliwy, by się dać poznać profesorowi ze strony nowej i olśnić go — spytał, czy miał o

nim jakkolwiek wiadomość od czasu, gdy do siebie pisywać przestali?

Sieniuta łagodnie się uśmiechnął.

— Jak, któredy, od kogo? z tego mi się tłumaczyć trudno, rzekł powoli, — ale żem miewał o was, kochany panie Adrjanie, wiadomości bardzo szczegółowe, niech będzie dowodem to, co ci powiem, iż o poemacie wiem, przebieg życia twego znam, — z danych, jakie miałem, odgaduję niemal co się w twojej duszy dzieje... Dopiero od wyjazdu za granicę brak mi już dalszych wskazówek...

Niedowierzając jakoś Adrjan potrząsnął głową, nie mówiąc nic, gdy Marjan obok jadący chwilę tę obrał dla wmieszania się do rozmowy.

— Ja także kopę lat nie widziałem go, rzekł — a oto dopiero przed godziną złapałem. Ja także nasłuchiwałem się po świecie legend o nim, bo to już dziś człowiek, o którym chodzą podania i ludzie sobie o nim tworzą baśni; ale z kilkudziesięciu słów któreśmy wymienili z sobą — widzę, że Adrjan przerósł głowę i fantazją nawet legendy o nim krążące. I pan profesor przekonasz się pewnie, że wspólny nasz przyjaciel jest nie tylko poetą w pieśni, ale w życiu...

Uśmiezek ironiczny towarzyszył tym wyrazom, profesor z niewielką słuchając uwagą, cały był w oczach, któremi badając Adrjana, zdawał się chceć w nim czytać...

— Ja mam tę wyższość nad panem hrabią, odezwał się, że mojego dawnego ucznia znałem, gdy dusza jego kiełkowała, żem był z nim długo w związku najściślejszym ducha. Spowiadał mi się niegdyś ze wszystkiego co później w nim spoteźnić miało i rozrosnąć się. Odgaduję więc może lepiej...

— Czy wszystko? nie ręczę! dodał z lekką zawsze ironią Marjan. Poety się w nim profesor domyslać możesz, ale ekscentryka?

— Sądzę, że u niego ekscentryczność płynąć też z poezji musi — dodał Sieniuta spokojnie.

Adrian rozpromieniony, potakując się uśmiechnął; Marjan zamilkł. Droga znowu się zawracała, podnosili się wyżej, a że w tem miejscu spadek góry ku morzu był gwałtowniejszy i drzewa rzadsze a niższe, odkrywał się ztąd prze cudny widok na zatokę, która od pierwszego ciemnego planu, zajętego ogromnemi drzewy, odbijała silnie. Słońce oświecało ją i oblewało barwami jaskrawemi, gdy góra i drzewa leżały w cieniach przezroczystych... Parę ułamków skał i w pośrodku nich pnie odwiecznych kasztanów i dębów stanowiły grupę malowniczą, mogącą znieść artystę.

Jakoż podjechawszy, ujrzeni z daleka pod ogromnym parasolem, z teczką na kolanach, w słomianym kapeluszu młodą kobietę, która tak była zajęta szkicowaniem widoku, że wcale ich

zbliżania się nie zdawała domyślać. Przewodnik z dwoma osiołkami i podżyła jejmość nieco opodał odpoczywali.

Adrian zaledwie rzuciwszy okiem na rysującą, zasmucenił się mocno, a dla hrabiego dość było tego rumieńca, aby odgadnąć, że artystką nie mógł być kto inny tylko miss Rosa.

W istocie ona też to tak pilno rzucała na papier jeszcze jedno Włoch wspomnienie. Podróżni nasi zatrzymali się nieco, już by nie przeszkadzać jej, gdyż tuż koło niej przejeżdżać musieli, już aby się lepiej pięknemu przypatrzeć zjawisku. Hrabia szczególnie wlepił w nią ciekawe oczy.

Chociaż siedziała, odgadnąć było można kibiś kształtną i piękną, napiętnowaną tą siłą i zreżnością, jakie wychowanie angielskie, troskliwe o rozwinięcie cielesne człowieka, nawet kobietom ich nadaje. Nie była to nasza trwożliwa niewiasta, nawykła do spokojnego, niczem nie zamąconego życia pod strzechą rodzinną, ale niewiasta pani siebie, nie lękająca się niczego, znająca świat i życia warunki. Główka jej, której profil rysował się jak kamea na ciemnym tle lasów, podniesiona w górę, z rozpuszczonemi do koła ciemno blond włosami, tchnęła pewną siłą, dumą i zaufaniem w siebie...

Z natężeniem patrząc na krajobraz, brew nieco ściągnęła, duże niebieskie jej oczy wlepione były w dal, usta miała odrobinę otwarte

jakby przez zapomnienie, i szereg perłowych zębów białł między różowemi, maluszkami, ale wydatnemi wargami. Była tak śliczną, że nawet stary profesor, który wszelkiego piękna na ziemi był wielbicielem, z rozjaśnionem radością czołem wlepił w nią oczy,

Artystka byłaby może nie domyśliła się, że miała świadków swojego zachwytu, gdyby tuż stojące osiołki, które ją i jej towarzystwo przywiozły, zobaczywszy krewnych i znajomych, nie zaczęły się niepokoić mocno i poruszać, co przewodnika zmusiło do dania im nauki przyzwoitego zachowania się.

Miss Rosa, zaniepokojona tem, odwróciła główkę i postrzegła towarzystwo, które o kilka kroków zatrzymało się w milczeniu. Zmieszała się nieco z początku, ale poznawszy Adrijana, uśmiechnęła się zaraz i skinęła mu głową przyjaźnie, szybko album składając i powstając z siedzenia. Dwaj nieznajomi, towarzyszący mu, niewiele się ją zdali obchodzić.

Poeta tymczasem, jakby się urokowi oprzeć nie mógł, zeskoczył z osiołka, i rzucając go podszedł do Angielki z ukłonem.

— Ale to prawdziwy cud — odezwiała się z wielką swobodą miss Rosa — żeś pan się potrafił oderwać od swoich książek i papierów i wyjechać w świat po słońce i powietrze!

— Ja to za cud uważam, żeś panią mógł spotkać! odparł poeta.

— Mówisz to pan przez grzeczność — rzekła uśmiechając się Angielka, — bo gdzież mnie nie ma? Ja nieustannie jestem w górach, lasach i skałach, nie mogąc się pięknnością tej natury nacieszyć...

Patrzała mu w oczy tak śmiało, tak dziwnie natarczywie, iż Adrian się zmieszał. Milczał.

Tymczasem miss Rosa spytała:

— Z kimże pan jesteś?

— Z moim przyjacielem młodości i z dawnym profesorem, którego w tym dniu cudów, miałem szczęście spotkać przed pół godziną.

— A dokądże Bóg prowadzi? badała z uśmiechem.

— Wyjechaliśmy bez celu, na przejażdżkę, która prawdopodobnie skończyć się miała w Castellamare; teraz już nie wiem nic, odparł poeta.

— Ja także zapewne tam dociągnę — odezwała się uśmiechając Angielka — i podała śliczną rękę Adrianowi z cichem: „Spodziewam się, do widzenia.“

Adrian odstąpił krok, skinął na swoich, którzy z dała skłonili się pięknej pani, i wyminęli ją wszyscy, oglądając się jeszcze.

Miss Rosa siedziała znowu nad albumem, i choć wzrok jej roztargniony błędził trochę dalej

niż wymagał rysunek, ręka już rzucała nowe na papier rysy.

— Panie profesorze! zawołał Marjan po polsku — co powiesz na to, że uczeń wasz, tylko dlatego dziś wyjechał ze mną z Sorrenta, aby o to tej idealnej Angielki towarzystwa uniknąć? Nie jestże to grzech przeciwko czci piękna i przeciw młodości? Los na przekorę postawił mu ją na drodze! Cóż wy na to?...

Profesor łagodnie się uśmiechnął.

— Piękna Angielka -- rzekł, dając dowód, iż lepiej swojego ucznia niż przyjaciel jego przenikał — piękna Angielka mogłaby być dla poematu zabójczą!!

Z tryumfem spojrzał Adrian na przyjaciela, który był i zdumiony tą odpowiedzią, i nierad z niej.

— Muszę przyznać, że nauczyciel i uczeń są w dziwnej harmonji usposobień z sobą, rzekł, zatem zmilczę... Poemat górą — Ale Angielka dziwnie piękna!!

Nad wieczór, wlokąc się powoli, spuścili się nareszcie ku Castellamare, w tej porze roku już dosyć pustego, więc nietrudno było znaleźć w niem pomieszczenie. Druga część wędrowki zbliżyła wszystkich ku sobie, mówiono wiele, a hrabia Marjan przez wzgląd na to, aby się

w łaski Adrijana wkupić, wstrzymywał się od ironii, i choć profesor mu nie smakował wcale, starał się i jemu przypodobać.

Adrijan, który chciał się dać lepiej poznać Sieniucie, zawsze go posądzając o to, że wielkości jego nie odgaduje jeszcze, nad obyczaj swój mówił wiele, i dotknął przedmiotu, którego przy obcych unikał zwykle — tłumaczył swój poemat, pomysł jego, budowę i t. p.

Sieninta słuchał z uwagą wielką, lecz zdania swojego nie objawiał. W końcu przejażdżki, w czasie której kilka razy się zatrzymywali i odpoczywali, poeta mówił tak wiele, tak żywo, tak się nnosząc i rozgorączkowując, że mu tchu zabrakło, i przybywszy do Castellamare uczuł się znudzonym śmiertelnie. Zaledwie dopadłszy pokoju, musiał się położyć.

Marjan i profesor zaopiekowali się nim. Wszyscy mieli mieszkania obok siebie i jeden salonik wspólny. Hrabia utrzymywał, że znużenie Adrijana głównie pochodziło z głodu, i natychmiast zajął się obiadem.

— Nawet poeci jeść i odżywiać się muszą — odezwał się do profesora: a ja, co jestem prozą chodzącą, umieram z głodu. Więc najprzód postaram się, abyśmy ciała pokrzepili.

Hotel, w którym stanęli, a na którego wybór wpłynął też hrabia, utrzymując, że zna miejscowość, należał do najlepszych, najdroższych i urządzonych specjalnie dla wiele wymagających

Anglików. Być bardzo mogło, iż hrabia, którego miss Rosa niezmiernie zajęła, miał tę myśl zdradziecką, że i ona tu zajechać musi. I stało się jak przewidywał.

W chwili, gdy już obiad podawać miano, służący hotelu przyszedł z oznajmieniem, że i inni podróżni razem jeść będą. Zapraszał do wspólnej sali. Adrian chciał przeciwko temu protestować, ale hrabia potrafił go przekonać, że w podróży towarzystwo obcych jest raczej rozrywką niż ciężarem. Profesor zachował się neutralnie; Adrian, choć nie bardzo chętnie, zgodził się wyjść do jadalnej sali.

Zastali w niej już Angielkę ze swą milczącą towarzyszką w długich lokach, z nosem czerwonym i miną kwaśną. Twarz miss Rosy za to jaśniała zdrowiem, swobodą, weselem.

Adrian, któremu coś hrabia szepnął, zaprezentował urzędownie swych towarzyszków, przy czem profesor, mówiący wszystkimi językami z łatwością, dał poznać, że i po angielsku umie. Miss Rosa zapoznała z nim panią Trelawney, która jej towarzyszyła.

Marjan manewrował tak szczęśliwie, iż mu się miejsce naprzeciw pięknej Angielki dostało, przy której siadł Adrian, bo mu sama to miejsce wskazała, i prawie wyłącznie się nim zajęła. Początek rozmowy musiał być o Włoszech, o Neapolu i o cudnej piękności tej okolicy.

Adrian rzucił myśl, iż urok miejsc tych większa jeszcze wiekuista groźba zniszczenia, drgająca pod nogami ziemia, rosnące góry, całe ziemi pokłady wylatujące w powietrze, — uśmiech wiekuistej wiosny na cmentarzu.

Miss Rosa znajdowała, że w tem określeniu piękności czuć było poetę. Hrabia Marjan dodał, iż wszystkie poetyczne dusze Włochy i Neapol pociągają ku sobie, przyznawał się do tej słabości, że i on od tego kraju się oderwać nie mógł. Chciał w oczach miss Rosy uczynić się też trochę poetą, sądząc, że w ten sposób łaskawsze jej zyska wejrzenie, lecz piękna Angielka nielitościwie była zimna dla niego, a dziwnie zaprzątnięta Adrianem, z czego nie robiła najmniejszej tajemnicy.

Poeta, choć mu to pochlebiało wiłocznie, trzymał się na wodzy, był melancholiczny, zadumany, mało mowny, co Angielka przypisywała odjazdowi matki.

Nie zyskawszy nic na tem pierwszym zbliżeniu się do miss Rosy, hrabia był zmuszony wcześniej niż chciał się z nią rozstać, bo Adrian zaraz po obiedzie wstał i pociągnął ich za sobą.

Profesor, który zabawiał panią Trellawney i potrafił ją nawet uczynić dosyć rozmowną, miał czas zachowaniu się skromnemu swojego ucznia przypatrzeć.

Adrian, który przed obiadem padał ze znużenia, skutkiem jakiejś reakcji wewnętrznej, gdy powrócili do mieszkania, stał się ożywiony, skłonny do rozmowy, wesoły, oświadczył wręcz profesorowi, iż spać nie myśli, kazał podać herbatę i nie zważając na dość zły humor Marjana — zaprosił na balkon do gawędki.

Noc była prześliczna, a choć z balkonu za gęstemi drzewy nie widać nie było oprócz gry światła i cieni w księżycowym blasku, miło tu było wonnem powietrzem południa oddychać.

Hrabia po krótkim zasępieniu, uznał też za właściwe wrócić do znośniejszego usposobienia; Sieniuta pod wpływem towarzystwa, wieczoru, ożywienia ogólnego, stał się także rozmowniejszy i swobodniejszy. Adrian, jak zawsze, nocą był najrzeźwiejszy.

Zaczął się od wspomnień młodości, które Sieniuta z rozrzewnieniem przywodził, twierdząc, że już w dziecku odgadł wcześniej wielkiego poetę.

— Całego mnie jednak jakim dziś jestem, rzekł Adrian, nie odgadlibyście pewnie, kochany mój mentorze. Wprawdzie jedno wasze słowo, któreście dziś rzucili, zwiastuje mi intuicję cudowną w was, a jednak...

— Tego się domyślam, odpowiedział Sieniuta, żeście życie złożyli w ofierze poezji. Byłeś zawsze pochopny do posuwania się na krawiec...

— Lecz jak daleko zaszedłem, przerwał Adrian — nie domyślacie się może. Poświęciłem wszystko! wszystko.

— Więcej niż poezja wymagała! dodał Marjan.

Uśmiechnął się z politowaniem poeta.

— Tak się wam zdaje, bo wam ów proces tworzenia, na który ja chornję, jest obcy, odparł Adrian. Wy sądzicie, że źródło poezji wytryska z człowieka z daru bożego, niczem nie podsycany! Tak ci jest, że źródło pod różeczką tylko bożą wytrysnąć może, ale kto go nie podsycy, w tym wyschnie.

— Święta prawda — odezwał się profesor.

— Wam się zdaje, że poezja geniuszu nie obmyślana, natchniona, tak się dobywa z niego, jak z osób magnetyzmem nspionych słowa, o których przebudzone nie wiedzą. Są chwile, prawda, takiego bezwiednego natchnienia — a jednak niema geniuszu ani dzieła nieśmiertelnego bez rozmysłu, bez rozwagi, bez sądu...

Poeta, mówił dalej Adrian, musi się hodować, podlewać, przesadzać, szukać słońca i rosy, aby mu kwiaty rosły i liście zieleniały...

Sieninta potakiwał.

— Zwichniętych poetów, połunanych geniuszów, przerosłych talentów, zmarniałych natchnień pełno leży na śmietniku odpadków życia ludzkiego, mówił dalej Adrian. Dlatego ja mu-

siałem w sobie pielegnować ducha i cały mu się poświęcić.

Marjan skłonił się z poszanowaniem, nie mówiąc słowa.

— Wszystko to przyjmujemy, odezwał się po długim milczeniu, którego nikt nie przerywał, (Adrjan chodził żywo po balkonie jakby zbierając myśli) — widzimy ofiary, szanujemy je — ale powiedzże nam choć pół słowa o ich skutku? o poemacie?

Adrjan drgnął i rzucił się.

— O poemacie? zawołał, — ale go jeszcze nie ma! ale go może nigdy nie będzie! Niewykończonego w świat nie rzucę, gdyby mu jednej brakło pieśni, a muie życia nie stało, spalę go. Nie chcę po sobie dziecięcia zostawiać kaleką...

Dziecię to nie moje, ale ducha tego wiekui-stego ludzkości, co je natchnął. Co w niem będzie mojego własnego — ja prawdziwie nie wiem. Wszystko czem myśl moja żyje, jest spadkiem i pracą wieków i pokoleń. Z przestachem obliczając się widzę, że ja do tego skarbu, który mi dany jest w ręce, ledwie pyłek dodać mogę. Wyrazy, pojęcia, myśli, formy wszystko odziedziczone, stare; z tych łachmanów złotych tysiąców lat, muie pozostaje coś sklecić — nowego...

Jest-li nowe pod słońcem??...

Krwawym potem znoić się musi chcący coś — niby stworzyć...

Życia na to mało. Potrzeba wiek podслу-
chać, przyszłość podpatrzeć, przeszłość posza-
nować...

Schwyciłeś myśl — ale czemuż myśl nie-
wcielona? nicością!...

Forma, barwa, dźwięk — głos, który dasz
w usta twego dziecięcia, gdzie je znaleźć?

— A od czegoż natchnienie i genjusz? prze-
rwał Marjan.

— Genjusz i natchnienie, zawołał Adrian,
nie rosną na piaskach ani na błocie: trzeba na
nie zasłużyć, zarobić, a mając je, umieć wstrzy-
mać i zmusić, by rosły.

Profesor nie odzywał się, słuchał bacznie i
z rozkoszą.

— Pozwólcie mi chudzinie rzec słowo —
przerwał hrabia. Przypuszczam, że teoria dosko-
nała, ale w praktyce lękam się, aby zbytnia
troskliwość nie zabiła wychowywanej rośliny.
Któż zaręczy, że higiena duszy taka a nie inna,
da te a nie inne skutki?

— Jedno proste bardzo prawidło — odparł
Adrian: — z czystego tylko źródła kryształowe
płyną wody. Nie trzeba go mącić żadną namię-
tnością, trzeba być wielkim człowiekiem, aby
być wielkim poetą.

— Wpadamy na bezdroża! zawołał Marjan.
Stu poetów ci postawię, których za wzory cnoty
i czystości wcale postawić nie można.

— Zgoda na to, ale ściśle wnijdź w ich dzieła i życie, a przekonasz się, odparł Adrjan, że byliby stokroć większymi, gdyby ludzkie słabości sił im nie odjęły, nie zaćmiły wzroku.

— Zlituj się — przerwał hrabia — tym sposobem poezja stałaby się zimną nauką moralną.

— Przepraszam — odezwał się Adrjan — poeta wszystko odczuć musi, umieć odmalować zbrodnię, unieść się namiętnością, przeniknąć do głębi wnętrzości ludzkich, lecz żeby miał tę władzę, ten dar jasnowidzenia, wyżej stanąć powinien nad świat, który cały przenika.

— Zatem anachoretą poecie być potrzeba — zamknął Marjan kłaniając się, bo ile razy argumentów mu brakło, zastępował je ukłonem.

— Cóż profesor na to? zwrócił się do milczącego.

Seniuta nad filiżanką herbaty siedzący, patrzył i słuchał z pogodą na czole; teorie wygłaszane nie zdawały się go zadziwiać.

— To pewna, rzekł spokojnie, że co nam Adrjan wygłosił tu, z takim przejęciem i głębokiem przekonaniem, jeat rzeczą piękną. Ale poezja to kwiat, który rośnie różnie i rodzi się często, gdzie go nie posiano.

— Na godzinę — odparł Adrjan żywo. Poezja dzika kiełkuje i na moczarach i na pustkowiach i w lasach i na kamieniach, ale poezja wielka...

— Mówimy o hodowli oranżeryjnej, — śmiejąc się dodał hrabia — teraz rozumiem.

Poeta się trochę poruszył jakby podrażniony.

— Przyjnuję to nazwanie, zawołał, niech będzie oranżeryjną, ale niech mi się osypie kwieciami, którego kielichy przejdą wielkością, barwą, wonią te, które wydaje natura!!

— Ja wierzę tylko w poezję dziką — rzekł Marjan — ale może dla tego, że sztucznej nie znam, któraby tamtej dorównała...

Adrian począł patrzeć w dal na drzewa, pomiędzy których gałęzmi przeciskały się drzące smugi światła księżycowego.

Sieniuta oczyma wiódł za nim.

Po przestanku, gdy rozprawę można było za skończoną uważać, odwrócił się Adrian.

— Parę pieśni cudnej urody, kilka obłamków słowiczego dźwięku, jakiś obrazek lśniący wszystkimi tęczy barwami stworzyć można między rozpaczą jednej miłości a drugiej nadzieją, ale ja poeta urywków być nie chcę...

Pytaliście mnie o poemat mój? Będzie to jedno i jedyne dzieło moje, wleję w nie całą duszę; dlatego całego życia na nie potrzeba...

Sieniuta się zamyślił.

— Wielka myśl, rzekł — niech ci sprzyja ją losy, abys ją mógł wcielić. Boję się pytać nawet jak daleko zaszedłeś.

— Sam nie wiem, odparł Adrian. Jednego dnia zdaje mi się, żem wszystką przedzę mych myśli wysnuł już z siebie, żem wszystko wyśpiewał, że stoję nad przepaścią nicości — drugiego strzelają z niej promienie, unoszą się światłości słupy, goreją łuny blasku... to, com zrobił wydaje mi się pyłkiem nikczemnym!!

Załamiał ręce.

— Tak jest, ciągnął dalej — lękam się samego siebie — są chwile wielkiej trwogi i zwątpienia...

Dopóki czuję, że w duszy coś jeszcze jest, co się w pieśń wcielić może — nie będę miał spokoju!

— Uczyniże drugich sędziami między sobą a tą pracą Syzyfa — rzekł Marjan.

— To się zupełnie na nic nie przyda — rzekł zimno Adrian. Dwa są sędziów rodzaje: jedni się unoszą w zachwycie i ślepną, drudzy szukają plam i brodawek, bo natura ich do szpetności ciągnie.

— Zatem któż oceni? spytał hrabia.

— Ludzie — ogół — rzekł Adrian — a dziś ocenienie obce na nicby mi nie posłużyło — nie poddałbym mu się.

— Masz słuszność, przerwał profesor — być posłusznym krytyce jest to podpisać na siebie *testimonium paupertatis*. To co się tworzy

jest dziełem przymusu, konieczności, złe czy dobre jest — bo jest. Przerabiane i wyginane dla czyichś sądów stałoby się trupem. Poeta sam widzieć i czuć może błędy swojego utworu; nie mam go za poetę jeżeli je potrafi poprawić, to jest sobą być przestać.

Quod scripsi! — scripsi! odpowiedzieć musi każdy natchniony...

-- Wyjmujecie mi to z ust, zawołał Adrian, ściskając profesora. Tak! tak jest a nie inaczej! Pomyślcież teraz o losie człowieka, który życie złożył w ofierze swojemu dziełu — ideałowi, i nie wie czy ono pójdzie na stos czy pod obłoki?...

Bo są chwile, w których z niego same blaśki biją, i są momenta gdy ono czarnem i bezdusznem leży jak plama; dusza odczuwa piękności i niepokoi się błędami, ułomnościami, tony fałszywemi...

Sąd! mówiliście o sądach ludzkich!! Wyroki wypadają dziwnie, przypatrzcie się im bliżej...

Sędzia spał źle w nocy, z rana się powaśnił z żoną, w drodze potracił o kamień, od wilgoci dostał kataru, wchodzi na sądy, wprowadzają winowajcę, którego los zawisł od niego... Sen, waśń, kamień, wilgoć wpłyną na wyrok niechybnie...

Tak samo dzieło przychodzi przed sąd ludzi w godzinie, gdy oni drgają namiętnościami

politycznemi, gdy głowy są zmacone, serca podrażnione, uwaga odwrócona, umysły znużone — wyrok pada namiętny i niesprawiedliwy...

— Przyszłość go niechybnie zmieni, jeżeli dzieło tego warte, odezwał się profesor. Przypomnijcie sobie losy jednego z największych poetów świata, jeżeli nie największego — Shakespeare'a. Współcześni go cenili jako zręcznego przerabiacza popularnych tematów, po zgonie zapomniano o nim zupełnie, trzeba było wieków, aby się na geniuszu poznano... Ale uznanym on został, pomimo wszystkich naleciałości wieku, przyglgłych do klejnotu brudów i śmieci, wyszpocień poprawiaczy i omyłek kopistów...

— To pociesza w istocie — odparł Adrian, wcale nie czując się przechwalonym zbliżeniem do Shakespeare'a.

— Shakespeare — podchwycił hrabia — to z innych względów woda na moje koło. Poezja jego wcale tak oranżeryjną i obmyślaną nie była, jak wy ją mieć chcecie. Płynęła ona z niego bezwiednie; przerabiał kroniki, wciągał do niej dosłownie całe sceny z Plutarcha, a mimo to przez jego czeluście z tej rudy bezbarwnej wypływało najczystsze złoto.

— Darujcie mi, przerwał profesor — każdego potrzeba mierzyć łokciem jego wieku. Gdzież były naówczas teorie sztuki i pojęcia jasne jej warunków? a to co Shakespeare w *Hamlecie* i

innych dramatach mówi o sztuce, dowodzi, że ją nad wiek swój pojmował zdrowiej i jaśniej.

Marjan ruszył ramionami.

Adrjan zatopiony w sobie chodził ciągle to występując na balkon, to kryjąc się w głębi ciemnego pokoju, który z obawy komarów pozostał bez światła.

— Ale ty mi, kochany Adrjanie — odezwał się profesor zwracając ku niemu — powiesz coś wreszcie o poemacie swoim. Daję ci słowo, że to, czego się dowiem, pozostanie we mnie, z nikim się tem nie podzielę.

— Ja także najuroczystsze zapewnienie na to daję — dorzucił Marjan.

Poeta stał w progu zapatrzonej na drzewa i milczał.

— Przyjaciele moi — odezwał się — czyż nie pojmujecie tego, że człowiek ma uczucia, ma świętości, ma łzy i poruszenia, o których nigdy nie mówi nikomu, bo one dla niego są czemś co oczom profanom odsłaniać byłoby grzechem. Nienawidzę tych, co się spowiadają z miłości swych, z naiwnością zwierzęcą, z cynizmem obrzydliwym, wzdrygam się na to — a mój poemat to moja miłość ideału, to moja wielka tajemnica, i wy chcecie, abym dzieje te duszne odsłaniał z zimną obojętnością anatoma?

Profesor spuścił głowę i zamilkł.

— Na to potrzeba, rzekł — usposobienia

szczególnego, — o to się w istocie ani prosi, ani tego wymaga. Przychodzi samo albo wcale nie przyjdzie. Więc przepraszam...

Hrabia nie chciał się poddać tak łatwo, i rzekł z przekąsem:

— Niegodniśmy! trzeba zasłużyć...

— Nieusposobiony dziś — podszeptał Sieniuta.

Adrian usłyszał to słowo i poszedł do profesora.

— Mylisz się, mój stary, rzekł z zapałem. Prawdziwie nie pamiętam w mem życiu takiego szczęśliwego usposobienia do wywnętrzania jak dzisiaj. Zaprawdę, bo nie mogło być inaczej. Dzień to dla mnie pamiętny, szczęśliwy, wyjątkowy! Cuda mnie otaczają! Z rana zjawia się Marjan, w drodze spotykam profesora.

— Dodajże, proszę, i Angielkę... dorzucił Marjan.

— Najchętniej, bo takie wdzięczne zjawisko, jak kwiatek przypięty do sukni godowej, nigdy nie popsuć nie może.

Oba nie widzieliście mnie od dawna, nie możecie więc nawet ocenić zmiany, jaka od wczoraj zaszła we mnie. Po odjeździe matki leżałem chory, bez myśli, stęskniony, wyczerpany; wyście mnie wrócili do życia. Nie pamiętam już kiedy się czułem tak młodym. Od roku chodziłem w czarnych myślach jak w żałobie, wam winienem, że je zrzuciłem...

Noc — dzień był dla mnie nienawykłego ruchu, pracowity, a spać mi się nie chce, położyć się ani myślę i męczę was...

— O! o! zawołał Marjan — co do mnie służę ci nie jedną noc, ale ile zechcesz...

— Ja także, dodał profesor — bo jako stary niedobrze sypiam i mało. Czuwanie mnie nie kosztuje — możemy sobie sprawić noc na wzór attyckiej — neapolitańską.

— Jest bo tak śliczna — rzekł Adrian, iż zaspać ją byłoby chyba grzechem. Wspomnieliście o moim poemacie — nie mogę wam o nim nic powiedzieć wyczerpującego, ale spytam profesora tylko: co sądzi o ogromnej epopei bez bohatera...?

— Bohaterem być może myśl przewodnia jedna — odparł profesor powolnie. Coś przecie całość musi tworzyć z epizodów, jeśli nie powstać to idea.

— A jeśli się ona wciela coraz inaczej, coraz bardziej bozko, coraz promieniściej, i począwszy kiełkować na oschłej po potopie ziemi, rośnie każdym skonaniem, które jest razem narodzinami? Jeżeli to samo technienie bozkie przejawia się pod nieskończonemi postaciami, które są na pozór sobie obce, choć w głębi jednym tylko?

Sieniuta patrzył, słuchał i milczał długo.

— Chcesz, bym ci powiedział prawdę? odparł z powagą nauczycielską.

— Wymagam jej, inaczej sądziłbym, że mnie chcesz bawić jak dziecko pieszczone. Rąb, stary.

— Poemat, mój Adrianie — począł profesor — to rzecz plastyczna przede wszystkim, filozofia w nim powinna być niemal bezwiedna, wynikająca z poetycznej prawdy jego, nieszukana i nienarzucona. Lękam się idei strojonej jak lalka, a martwej jak ona. Idea oderwana od życia -- jest czem chcesz, ale nigdy poematem, bo poezja całe życie musi mieć w sobie, a myśl oderwana ma tylko jego widmo...

— Źle się może wytłumaczyłem, odparł Adrian z widocznym jakimś nieukontentowaniem. Jestem zmuszony objaśnić, że nie począłem od idei, ale obraz dziejów ludzkości, pojęty jako całość, narzucił mi ją...

— Zdradziłeś więc swą tajemnicę, zawołał Marjan — poemat snuje się około historii człowieka przez wieki.

— Z treści tej tajemnicy nie czynię, odparł poeta zimno. Widzę jednak ze smutkiem, iż mój stary jeży się na nią i — w zasadzie potępia.

— Czekaj, nie strzelaj i nie zabijaj — odparł Sieniuta z łagodnym uśmiechem. Ja nie potępiam nic i nie zabijam niczego w świecie. W ogóle nie ufam regułom i pewnikom, a piękno wielbię w jakiegokolwiek ono zjawia mi się postaci.

Nie znam poematu twojego, nie mogę wyrokować o nim z luźnej i suchej treści. Geniusz może z najniewdzięczniejszego zadania zrobić arcydzieło. Biblia powiada, że Bóg człowieka z gliny ulepił, człowiek też z błota może tworzyć cuda i z tchu powietrznego kamienie drogic...

Powtórzę ci jednak — poemat musi mieć krew, ciało i kości, inaczej dziełem sztuki nie będzie, będzie sprawą myśli wycieleśnionej i zbladłej.

— Ależ i ja inaczej nie pojmuję poezji — przerwał Adrjan dosyć chmurno — i zamilkł.

— Przypomnij sobie Lukrecjusza — dodał Sieniuta; — nie żyłby on dziś, gdybyśmy nie szukali w nim materiału do poznania starożytnego świata i jego myśli. Jako poemat pogrzebiony on został dawno, gdy mniej może wzniosły, a bardziej ludzki Wirgili żyje i zachwyca.

— Zachwyca? rozśmiał się hrabia — Wirgiliusz zachwyca?

Profesor odwrócił się ku niemu.

— Po łacinie, dodał — wierz mi pan, trzeba go w tym języku czytać, albo nie tykać wcale. Tak samo z Horacjuszem, z którym się ja nie rozstaję nigdy, boście mnie panowie z nim w rękę spotkali. Horacjusza tłumaczyć jest śmiesznością — poeci się nie przekładają.

— Odeszliśmy od przedmiotu — przerwał Adrjan, — a ja się z tego bardzo cieszę, bośmy mogli z moim kochanym starym się popstrykać.

— Nigdy w świecie! odparł wesoło profesor. Znasz mnie, jestem nie człowiekiem jakiegoś systemu i ciasnej drożyny, ale owieczką co błądzi po górach, lasach, dolinach i zrywa kwiaty i ziółka gdzie napadnie. Dla mnie najróżniejsze piękności są wszystkie piękne. Chociaż Dante kazał się prowadzić do piekieł Wirgiliuszowi, nie ma na świecie dwóch różniejszych od siebie rzeczy nad *Komedję Bozką* i *Eneidę*. Ja się nad obiema unoszę — unoszę się nad *Byronem* i nad *Lukrecjuszem* nawet — *Horacjusza* wielbię — *Milton*, *Kamoens*, *Shakespeare* każdy z kolei zachwyca mnie. Przekonany jestem, że kto ma zmysł dla jednego tylko rodzaju piękna, ten jest nieszczęśliwy — ułomny.

— W takim razie szanowny profesorze — odezwał się *Marjan*, okrutnie będzie trudno ideę piękna wyciągnąć z tych rozmaitych jej objawów.

— Ja tego nie widzę — rzekł *Sieniuta*. Niepodobna wymagać od ziemi, aby rodziła same lilie, piękne są i róże, i fiołki, cudowna nawet stokrotka skromna, gdy łebek swój malutki z trawy wychyla... Nie przyznam nigdy, aby róża ekskludowała inne kwiaty, i *Homer* wyłączał *Milтона*...

— A jeśli kto się tak urodził, że tylko jeden rodzaj piękności czuć może?

— Są ludzie co widzą tylko jedną barwę — zamknął profesor.

Rozmowa miała się przeciągnąć dłużej, gdy z sali w której stał fortepian, daleki, z początku słaby dźwięk się dał słyszeć.

Umilkli wszyscy; Adrian dał ręką znak, że chce milczenia; domyślał się, że miss Rossa zapewne grać musi.

Wśród tej cichej nocy wiosennej księżycowej, muzyka była jakby nieodzownym akompaniamentem poezji, którą ona wiała. Wszyscy się jej mradowali. Angielka biegła lekko po fortepianie, sunjąc jakieś preludja własne. fantastycznie, niewieście, melancholicznie, wpadała na temata, które się jej przypominały i wplatała je do swych myśli. Z gry domyślać się było można nie tylko dobrej fortepianistki, ale muzykalnie wysoko wykształconego talentu, który był panem siebie, kunsztu i nauki służącej mu za narzędzie. Marjan niewiele mający zmysłu muzycznego, chociaż nie mógł się oprzeć wrażeniu, jakie gra czyniła na nim, uśmiechał się ironicznie.

Słuchano w skupieniu ducha, a Adrian postąpił aż na brzeg balkonu, aby się zbliżyć ku oknu, przez które muzyka wychodziła. Niedługo to jednak trwało, miss Rosa coraz ciszej i powolniej przebiegała jakby zadumana klawisze fortepianu, potem wszystko ucichło.

Adrian chciał uderzyć w ręce i przyklasnąć, wstrzymał się. Hrabia przystąpił do niego z tyłu i szepnął mu do ucha:

— Kobieta! przysięgam, że grała dla nas, a raczej dla ciebie, szczęśliwy człowiecze, aby cię rozmarzyć.

— Złośliwy jesteś — rzekł Adrian — ja, co ją lepiej znam, nie posądzam o to wcale. Nie ma istoty, któraby mniej nad nią dla ludzi czyniła, ale też ludzie nie powstrzymują jej od postępowania jak się jej podoba. Gdyby wiedziała, że będzie posądzona nawet o zalotność — nieby jej to nie obeszło, Ruszyłaby ramionami i siadła do fortepianu, aby fantazji uczynić zadość.

Było tak późno już, iż się zdawało na dzień zabierać; Adrian zszedł z balkonu i rzucił się na kanapę.

— A no — odezwał się Marjan — najpiękniejsza noc w świecie skonczyć się przecie musi. Zdaje mi się, że czasby było pójść spać.

— Głosuję za tem także nie dla siebie, ale dla Adrijana — dodał powstając profesor.

Poeta się nie przeciwił, podali więc sobie ręce i rozeszli zostawiając go w marzeniach i pół snach wyciągniętego na kanapie.

Na dzień następny nikt jeszcze żadnych nie robił planów. Było już dosyć późno, gdy w salce wspólnej zeszli się Sieniuta z hrabią.

Drzwi pokoju Adrijana stały zamknięte.

— Jak go pan znajdujesz? — zapytał hrabia. — Przyznam się panu, że choć umysłowo znalazłem go nad wszelkie przewidywania wy-

soko wykształconym i sił pełnym, — widok jego mnie przeraził.

Sieniuta obejrzał się ostrożnie ku drzwiom, i wyprowadził na balkon hrabiego.

— Wrażenie, które uczynił na panu, rzekł cicho — zrobił i na mnie. Twarz nosi na sobie piętno cierpienia, oczy mają blask chorobliwy, zdaje się być trawiony gorączką. Pokaszliwa.

— Nie bez przyczyny go lekarze do Włoch wyprawili, dodał hrabia — lecz z tym przeklętym poematem cóż mu pomoże powietrze? On się nim zabija! To monoman!

Profesor westchnął.

— Matka zmuszona była podobno go odjechać — mówił dalej hrabia. Niepodobna go jednak tak samemu zostawić. Ja nie mam nic lepszego do czynienia, myślę przy nim побыć czas jakiś.

— Ja to samo miałem na myśli — odparł profesor, zniżając głos ciągle i oglądając się bojaźliwie. Jest to tak dobrze jak dziecię moje, nie mam dziś żadnych obowiązków, z przyjemnościąbym mu się poświęcił.

— Pytanie tylko czy nas obu nie odpędzi — rzekł hrabia — bo mu do poematu przeszkadzać będziemy.

— Łzy mi z oczu wyciska, gdy na niego patrzę — zakończył Sieniuta.

Chód cichy dał się słyszeć w salce, rozmawiający zamilkli, we drzwiach balkonu ukazał się Adrian.

W istocie ranna jego fizjognomia, po nocy spędzonej w części bezsennie, po wczorajszem ożywieniu zbytecznem, uderzała bladością i wyniszczeniem przedwczesnem. Cerę miał żółtą, oczy jakby powiększone jakimś wytężeniem ducha; ręka, którą był wyciągnął ku profesorowi, biała, chuda, zdawała się drzeć z osłabienia.

— Jakże się spało? zapytał Marjan.

— Nie pochwalę się snem nigdy — rzekł głosem cichym i słabym poeta. Nie umiem spać od dawna. Mam zły zwyczaj pracowania w nocy; zwykle więc rozgorączkowany jeszcze myślami do łóżka się kładę — nierychło ucisza się pod czaszką. Najczęściej wirują po niej od dźwięki ostatniej pieśni lub czytania, a nawet gdy usnę, bezładnie plączą się po mózgu, jak szajka rabusiów po pustem domowstwie. Prawda, że z tego chaosu poplątanych najdziwniej urywków myśli, czasem tryska coś niespodziewanie pięknego i wielkiego, ale sen dla mnie jest męczeństwem...

I dziś też więcej się dręczyłem niż spałem, i dopiero nadedniem głęboki sen ujął mnie jak kamieniem przywaliwszy.

Czasami gdy mi bezsenność zbyt doku-
czy, parę kropel opium biorę.

— Na Boga! toć zabójcze, a można sobie nałóg uczynić z tego...

Adrjan się uśmiechnął.

— O! nie bójcie się, nie nadużywam tej trucizny, rzekł ruszając ramionami, — chociaż, powiem szczerze, wprawia ona w upojenie tak rozkoszne, tak spotęgowuje natchnienie.

Marjan z kolei oburzył się.

— Cóż znowu? nie potrzebujesz przecie tego kunsztownego środka! zawołał. Poezja opium w każdym razie chorobliwą być musi, fałszywą i niezdrową.

Poeta słuchając tych wyrzutów, którym bronić się nie chciał czy nie mógł, spuścił oczy na ziemię, jakby odwrócić wołał rozmowę, nie podnosząc ostatnich słów.

— Co dziś z sobą robimy? zapytał.

— Przy tobie rozkazy, rzekł profesor, — zastosujemy się do nich. Mnie się zdaje, że właściwiej byłoby po znużeniu wczorajszem spędzić tu cały dzień na dolce far niente...

— Ja za tem jestem także — dodał Marjan — a ty?

— Ja? powróciłbym chętnie do mojego Sorrenta, odparł Adrjan, — rozumie się zabierając was z sobą. Matka mi zostawiła tak obszerne pomieszkание, że wszyscybyśmy się w niem wygodnie mogli ulokować. Śmiecie się ze mnie

jeśli chcecie, ale w Sorrencie zostawiłem co mam najdroższego — moje papiery. Najstraszniejsze myśli mi po głowie krążą. Nie zwykłem się z niemi nigdy rozstawać.

Marjan śmiać się począł.

— A! wiesz, żeś przedziwny! zawołał. Gdybyś kilka tysięcy franków zostawił w komodzie, podzielałbym twój niepokój; papieru zapisanego nikt w świecie nie ruszy...

Adrian się namarszczył.

— Za nic ręczyć nie można! rzekł krótko. Ludzie niewają fantazje...

— Tylko nie do papieru! dodał hrabia.

— Cóż się stało z miss Rosą? nie wiecie? spytał Adrian.

— Jakżebym ja nie wiedział o tem! — odezwał się Marjan. Nim wstaliśmy, już jej nie było. Mówiono mi, że się puściła do Pompei w nadziei, że jej tam rysować pozwolą.

— A profesor byłeś już w Pompei? zagadnął Adrian.

— Byłem, odpowiedział Sieniuta; ale mogę powiedzieć, że jej nie widział. Trafiłem w deszcz i na zły humor przewodników.

— Ja także choć widziałem wykopaliska, mam ochotę jeszcze do nich pielgrzymować — rzekł poeta...

— I w paszczę niebezpieczeństwa się rzucić — śmiejąc się przerwał Marjan. Miałżebyś odwagę z wiedzą o tem, że nas Angielka tam

poprzedziła, iść w jej ślady? Zważ, iż mogłaby przypuścić, że ją gonisz!

— Jesteśmy we trzech! rzekł Adrian. Lecz w istocie lepiej jest unikać spotkania. Radę przyjmuję.

— Wypieram się jej — to był żart nie rada, pośpiesznie wykrzyknął hrabia. Co do mnie, jestem tembardziej za Pompeją, iż radbym się zbliżyć do Angielki, która wczoraj ani patrzeć na mnie nie chciała, tak była poetą zajęta.

Adrian smutnie się uśmiechnął.

— Zjedzmy tu śniadanie, wtrącił, a potem ruszajmy do mnie, to będzie najbezpieczniej. Ponieważ miss Rosy nie ma, na cudownej tarasie u Tramontany, patrząc na morze, wśród gaju laurów, przy zapachu rozkwitłego pomarańcz lasku, jeść obiad będziemy.

Profesor i hrabia milczeli, poglądając po sobie; Sieniuta wreszcie głos zabrał.

— Zrobimy to jutro, rzekł biorąc za rękę ucznia. Dziś — spoczniemy — choćby dla mnie starego...

Ty także możesz potrzebować wytchnienia, wyglądasz dziś znużony.

— Jestem taki od wielu lat ciągle — westchnął Adrian. Inaczej bo być nie może: noszę w sobie myśl, która jak rozpalone żelazo mnie piecze...

— A dla samego jej urzeczywistnienia — odezwał się Sieniuta — należałoby ją odłożyć trochę na stronę. Nie mówię tego w interesie zdrowia, ale w sprawie poematu. Malarz, który obraz tworzy, gdy się w niego wpatrzy, traci poczucie całości, nuży się, nie jest zdolny go ocenić — potrzeba czasem dać poleżeć dziełu, aby świeżą myślą je objąć. Naówczas nowe wytryskują idee, odkrywają się poglądy niespodziane... Daj sobie wakacje...

— Stracę wątek — odezwał się bojaźliwie poeta.

— Odzyskasz go, czytając na nowo... rzekł profesor; a że twa własna poezja wyda ci się inaczej, żywszą, barwniejszą, to pewna.

— Podzielam zdanie preopinenta — począł Marjan — zróbmy sobie wakacje wszyscy, gońmy za uroczą miss Rosą, kochaj się kilka dni, zobaczysz, że ci z tem zdrowo będzie.

Adrian potrząsł głową.

— Gdybym się miał poddać kiedy temu uczuciu, którego się obawiam, bo wiem, że mnie by pochłonęło całego, nie do miss Rosy z niem bym się zwrócił, ale tam ku północy pobiegłbym tęskny ku wspomnieniom lat dziecinnych...

Miss Rosa!! Wiercie mi, w najpiękniejszej kobiecie innego świata niż swój kochać się niepodobna. Cudzoziemka nawet idealna może zachwycić chwilę, ale nie zapełni serca — nie

zrozumie obcego człowieka. Potrzebaby dla niej wywlec się ze swego ja — lub ją ochrzcić polską wodą. I tak, któż wie, czy chrzest ten zmył by pierworodny grzech pochodzenia?

— To już szowinizm niepojęty dla mnie! — dodał hrabia. Anioły należą do — wszystkich narodów... język oczu jest jeden na całym świecie... Ja nawet wolę cudzoziemkę, bo mi coś nowego przynosi.

— A ja stare kocham tylko! — wtrącił Adrjan.

— Dziwactwo! szepnął hrabia.

— Całą noc dziś bo śniłem o domu, matce, o wsi naszej i o kimś jeszcze, mówił Adrjan. Dziwna rzecz, że to co się we śnie widzi, ma potem jakiś urok nadzwyczajny.

— Powiadają — dodał żartobliwie Marjan — że między magnetyzującym a magnetyzowaną jasnowidzącą wywiązuje się zawsze ze snu zrodzona miłość. Dwa te fenomeny mogą być w związku z sobą.

Zamilkli.

— Zatem, cóż robimy? spytał profesor. Ja moje wszystko mienie, pięć książek, surdut i pled zostawiłem w Neapolu... Jeżeli nie powrócę, muszę tam dać znać, aby mnie nie wzięto za zbiega, pochłoniętego przez Wezuwiusz.

— Ja, uważam za stanowczo przyjęte — wakacje, z akompaniamentem miss Rosy lub bez niej, ale wakacje koniecznie.

— W Sorrencie — dokończył Adrian.

— Dokąd udajemy się jutro, rzekł Sieniuta ;
dzisiaj spoczynek pod kasztanami...

— Koniecznie ? spytał Adrian.

— Dwóch przeciw jednemu, większość absolutna za nami — odezwał się hrabia. Idę i muszę się postarać, aby obiad był godzien tych przyjacielskich agapów...

Dosłyszawszy zakończenia ostatniego wyrazu, Sieniuta z lekkim uśmiechem szyderskim spojrział za odchodzącym.

Dzień zszedł na rozmowach, nad którymi czuwał stary Sieniuta, aby nie tykały zbyt drażniących przedmiotów. Wczorajsze rozprawy nadto silne czyniły wrażenie na Adrianie, i choć on sam do nich powracał, profesor starał się, w zмовie będąc z hrabią, nie dopuszczać zbyt namiętnych dyskusyj.

Hrabia był wielce użyteczny, bo miał zapas niewyczerpany powieści z całego świata, dowcipów cudzych i fantazyj własnych.

Adrian po wczorajszem rozgorączkowaniu, widocznie dnia tego był osłabły, zamyślony, nie swój, milczący. Kiedy niekiedy zrywał się i chodził pogrążony w jakichś dumach po pokoju. Profesor posądzał go o odbieganie do poematu. Niekiedy dwa razy jedno przychodziło mu powtarzać, tak myślą gdzieś indziej wędrował...

Hrabia smakosz, przywiązujący zbytnią wagę

do kunsztownego odżywiania się, starał się mocno, aby obiad wszystkim wymaganiom uczynił zadość. Choć pewnych nałogów kuchni włoskiej nie sposób było uniknąć, w istocie podano wieczorem bardzo wytworne jedzenie i wino doskonałe.

Adrian jadł niewiele, z roztargnieniem, ale pił chętnie i sztucznie się rozweselił. Żartował jakoś smutnie.

Przy obiedzie nawet wyrwał się z tem, iż żałuje, że za miss Rosą nie pojechali do Pompei. Tymczasem jeszcze do deseru nie doszli, gdy piękna Angielka w podróżnym stroju ukazała się w salonie, z albumem w ręku.

— Wystawcie sobie panowie, co mnie spotkało, zawołała wesoło. Wybrałam się rysować do Pompei, i choć mnie opatrzone wcześniej w pozwolenie ministerjalne, jakiejś tam brakło formalności jeszcze, — odprawiona zostałam z niczem. W gospodzie Dyomeda, struto mnie drogiem, a szkaradnem śniadaniem. Ratujcie panowie!

Adrian, na którego mówiąc patrzyła, pierwszy rzucił się na ratunek. Marjan pobiegł prawdopodobnie do kuchni. Profesor zajął się panią Trellawney, która go powitała ze szczególnem odznaczeniem.

Tymczasem miss Rosa przystąpiła do Adriana.

— Pan dziś bardzo wyglądasz zmęczony — odezwiała się żywo; — potrzeba więcej dbać o zdrowie, — a trochę o poezji i książkach zapomnieć.

— Drugi już dzień mieszkam w prozie i nią się karmię — rzekł Adrian. Więcej po mnie wymagać nie można.

— Przyjaciele pańscy, dodała Angielka patrząc mu w oczy — powinni by wziąć go w kuratelę. Ja nie mam prawa liczyć się do nich, ale chciałabym gderać. Przypomnij pan sobie matkę i jej troskliwość o niego, — dla niej powinienes coś uczynić, jeśli nie dla siebie.

Dawszy mu tę naukę osłodzoną wejrzeniem pełnem wyrazu, miss Rosa odwróciła się nagle, aby pozbyć kapelusza, albumu, parasolika i malarzskich przyborów... Być może, iż zarumienioną trochę twarz ukryć chciała.

Głos jej tak jakoś przemówił wymownie do Adriana, iż z niezwykle sobie grzecznym pospiechem rzucił się pomagać Angielce... Oczy ich się spotkały znowu, i poeta stał się milczący, niespokojny. Na twarzy przeczytać było można jakby odbłysek walki wewnętrznej, który znikł wprędce, ustępując przed usposobieniem czułem i łagodnem. Puszczając sobie wodze widocznie.

Nigdy może nie był tak nadzwyczaj nadskakującym dla miss Rosy, w której humorze się to odbiło.

Była widocznie uszczęśliwiona, stała się wesółą. W obejściu się uprzejmem bardzo, przyjacielskiem, siostrzanem z Adrjanem, trudno było dostrzedz zalotności, lub należało przypuścić, że ze sztuką największą była zamaskowana.

Irabia Marjan przypatrujący się z daleka, nie umiał jeszcze powiedzieć sobie — czy tak naiwną była i dobroduszną, czy tak niesłychanie zepsutą? Ostatnie przypuszczenie chyba w nim tylko zrodzić się mogło, bo młoda, choć śmiała i pewna siebie istota, była świeżym pączkiem różanym, na którym dotknięcia świata niepodobna było dopatrzeć.

Obiad rozpoczął się na nowo, a przy nim żywa i wesółą rozmowa. Nawet pani Trallawney i profesor mięszali się do niej, ale królową była niezmiernie dnia tego rozbudzona, swobodna miss Rosa i Adrjan, który się jej dał pociągać. gdzie chciała.

Zaczęto mówić o piękności natury, a skończono na sztuce, tak świetnie się przedstawiającej w neapolitańskich muzeach. Angielka była artystką nietylko jak wszystkie córki Albionu, do których wychowania potrosze należy sztuka, ale całą duszą i sercem.

— Sztuka i to co ona daje, mówiła tłómacząc się ze swojego dla niej zapалу — jest to, co świat ma najlepszego. Po wszyskiem następują rozczarowania i zawody, sztuka nas tylko upaja i słodzi życie.

— Jeżeli się ograniczymy kontemplacją i uwielbieniem dla niej — odezwał się hrabia usiłujący koniecznie wmieszać do rozmowy; — kto tworzy ten walczy, dręczy się i doznaje zawodów...

— A zawody są nauczające — zawolała Angielka — i po nich idzie się dalej, bo państwo sztuki jest nieskończone!... Ja przynajmniej nie rozumiem artystów, którzy się skarżą ciągle, że im sztuka nie opłaca ich znojów... To chyba nie są artyści. Chwila tworzenia jest taką rozkoszą, że dla niej i głód znieść można.

— Ale to mówią artystki takie jak pani — rzekł Marjan, — które nigdy głodu nie doświadczały.

— I nieszczęściem jest, że uprawą sztuk po większej części zajmują się ci, co z nich żyć muszą — dodała Angielka. One są stworzone dla tych, co kapłaństwo godnie nosić umieją, lub dla tych, których los wyposażył tak, aby o powszednim chlebie myśleć nie potrzebowali. Ale mówiąc o sztuce — dodała żywiej — godziż się ją wiązać z tą poziomą i obcą jej kwestją chleba!

— Niestety — los je związał! rzekł Marjan.

— Dla mnie, zakończyła miss Rosa, sztuki albo raczej sztuka, bo ja ją pojmuję jedną tylko, stoi tuż u progu świątyni kościoła. To druga religia moja. Przez sztukę widzi się także objaw bóstwa na ziemi!

Adrian uderzył w ręce, oczy mu błysnęły.

— A! tak jest! zawołał z uniesieniem — sztuka jest religią dla powołanych — wybrani tylko ją czuć i rozumieć mogą. Komu zmysłu sztuki braknie, ten mi się zawsze wydaje istotą pośledniejszą i upośledzoną.

— Pani więc musisz być najszczęśliwszą istotą — przerwał Marjan — mogąc się poświęcić sztuce całkowicie.

— I mam się w istocie za bardzo szczęśliwą — odparła miss Rosa; anibyhm się dziwiła, gdyby mi zazdroszczono.

— Jak to? i nie pani nie braknie? ciągnął dalej neliłościwy hrabia — serce nie potrzebuje więcej nad tę cześć piękna?

Miss Rosa się zarumieniła trochę, ale nie zmieszała wcale.

— Jak to pan rozumiesz? spytała.

— Przecież rodzina, przywiązanie jakieś, węzeł serdeczny, są naturalną potrzebą dla człowieka, a szczególnie dla kobiety??

— A gdybym hrabiemu odpowiedziała, że są artystyczne temperamenta, (nazwijmy je w ten sposób) — odparła miss Rosa — którym sama sztuka starczy?

— W jakimś życia momencie może, ale nie na zawsze! zawołał Marjan. Przychodzi chwila, gdy serce zaparte się mści i upomina o swe prawa...

— Nie wiem, pan zapewne lepiej odemnie znasz serce ludzkie — chłodno odrzekła Angielka. Zaliczyłabym to rozbudzenie się serca do kłesk i boleści życia...

To mówiąc miss Rosa zdawała się chcieć sprowadzić z niewłaściwego toru rozmowę, bo się zwróciła do Adrijana i spytała, czy on widzi całą piękność tych krajobrazów włoskich, tych wybrzeży ulubionych Rzymianom, które rysunkiem i barwami ją zachwyciły?

— Mozeszże pani wątpić o tem? odparł Adrijan. Ja także po swojemu jestem pejzażystą, i choć nieumiejętnie władam ołówkiem, słowami staram się malować...

— O! i pewnie świetniej niż my farbami naszymi! odparła Angielka.

— Wspomniałaś pani o Rzymianach, którzy się kochali w Bajach, gnieździli z willami około Pauzylippu i w Pompei — odezwał się Marjan. Jakże to wytłómaczyć, że ci wielbiciele natury, nie malowali jej wcale! W Pompei nie ma krajobrazów!

— Nie malowali, rozśmiała się Angielka, może dlatego, że rozpaczali, aby ta piękność odtworzyć się dała. Krajobraz zresztą nie jest całkiem wykluczony z Pompei, tylko ludzie go zawsze zasłaniają.

Zdaje mi się, że ostatni Rzymianie, którzy tu najwięcej się budowali i używali willegia-

tury — ludzie popsuci, psuli też naturę, co ich otaczała, i może dlatego bardzo się w niej rozkochać nie mogli. We fryzowanych i strzyżonych drzewach, w rozkrzyżowanych latoroślach winnych, rozpiętych na kratki powojach, poobcinanych górach, postrojonych trawnikach — zakochać się trudno... Rzymianie się niemi otaczali.

— Niezmiernie mi przykro dorzucić małą uwagę — odezwał się hrabia Marjan, który koniecznie chciał rozmowę przeciągnąć — że i my, co tak bardzo naturę kochamy, swojską i dziką, krajobraz jednak w dziełach sztuki stawimy dosyć nisko.

— To prawda, odpowiedziała miss Rosa — ale trzeba też było coś zostawić dla słabszych i mniej udarowanych istot. Kto się wznieść nie może do ludzkiego dramatu, ten się ogranicza strzaskanym dębem lub sielanką młodej gęstwiny... Bóg dla wszystkich głodów i na wszelkie potrzeby duszy pokarm obmyśla...

Tak skromnie bardzo przyznawszy się do podrzędnego stanowiska, Angielka po cichu coś mówić zaczęła do Adrjana aby nie być zmuszoną dłużej się zajmować natrętnym hrabią.

Marjan umilkł, i nie okazując, żeby go odprawa dotknęła, począł się przysługiwać miss Rosie i pani Trellawney, grając rolę gospodarza.

Profesor wygadał się z tem, że nazajutrz do Sorrenta powracać myśla.

— Ja także wyrzekam się Pompei i jej pokus — odezwała się miss Rosa. Widoki to więcej dla archeologów, niż dla artystów. Kupy popiołu i nizkie gruzowiska na pierwszym planie, na drugim drzewka chude, a w dali szary Wewzuwiusz po dniu wyglądający dość smutno i niekształtnie...

— Okolice Sorrenta pewnie piękniejszych dostarczy motywów! — zawołał Adrian — jest uroczą.

— A droga z Castellamare? może być coś piękniejszego? — odezwała się miss Rosa.

-- Nareszcie gdyby Sorrento wyczerpane zostało, rzekł Marjan — mamy Capri z jego urwiskami i wschodkami, skałami i morzem, co je otacza. My się także do Capri zapewne wybierzymy, bo mój przyjaciel Adrian potrzebuje studiów podobno.

— Jam tam już był — odparł poeta — chociaż się nie zarzekam powtórzenia wycieczki, a nawet pobytu... A profesor? spytał zwracając się do milczącego Sieniuty.

— Ja? wybierałem się tam czytać Tacyta i Swetoniusza — rzekł z uśmiechem stary — ale miałem wprost popłynąć z Neapolu.

— Wybierzemy się razem, dodał Adrian, i to z Sorrenta, a ja skorzystam z twego Tacyta...

Angielka milczała jakoś, zajęta desserem oczyma badała poetę, który był rozmarzony,

wpatrzony w nią i tak zajęty nad swój zwyczaj, iż w końcu miss Rosa, czując się tem może skompromitowana, poruszyła się i od stołu wstała. Nie zmniejszyło to jednak jej uprzejmości dla Adrijana, bo zapewne obwiniała go tylko o zbytek naiwności — podała mu rękę, uśmiechnęła się, skinęła głową towarzystwu i znikła.

Pani Trellawney pozbierawszy albumy i kapelusiki, poszła za nią, a podróżni nasi wrócili do mieszkania.

Adrian już w drodze przez korytarze zasępił się.

— Wiesz — rzekł Marjan wchodząc z nim do mieszkania — dziś byłeś bardzo *galant* dla Angielki... Poprawiasz się?

— Nic a nic! odezwał się Adrian. Prawdziwie osobliwego doświadczam uczucia... Miss Rosa, która nie ma najmniejszego podobieństwa do — innej, pewnej ślicznej istoty, w której się niegdyś kochałem, — odświeża mi pamięć tamtej. Jest mi dlatego miłą, że przypomina inną. Czem? to dla mnie rzecz niewytłómaczona, lecz pewna, że siedząc przy niej, mówiąc z nią, myślałem ciągle o tamtej innej, tęskniłem do niej.

— Sumienie cię ruszyło — rozśmiał się hrabia.

— Oprócz tego — dodał poeta — sam nie wiem co mi jest, ale od wyjazdu mojej matki, myślą ciągle uciekam do spokojnego kątku naszego. Chciałbym tam być.

— A poemat? a Wschód? zapytał hrabia.

— Poemat zwycięży — rzekł Adrian. Słabość ludzka odzywa się we mnie.

— Może instynkt zbawienny — dodał Sieniuta; — któż wie, czy duch twój nie potrzebuje wrócić do gniazda?

— Nie — to pokusa wprost, odparł poeta. Poemat ma nieprzyjaciół, ma wrogów, coby go we mnie zabić chcieli. Czuję ich — bronić się im muszę. Najstraszniejszym z nich to lenistwo i cielesne znużenie... Są chwile, że mi one cudnemi barwy malują szczęście jakieś ciche, półsen spoczynku w drzewach zielonych, z ukochaną u boku!! Lecz poddawszy się pokusie tej, musiałbym zginać.

— I sprzedać nieśmiertelność za półmisek soczewicy na wsi przy śpiewie słowików! rzekł hrabia.

— Nieśmiertelność! rozśmiał się Adrian — mniejsza o nią, idzie o co innego. O to, aby spełnić posłannictwo swoje i nie sprzeniewierzyć się namaszczeniu doń w kolebce...

Profesor patrzył z zachwyceniem na ucznia; w twarzy przyjaciela widać było ironię, która w duszy jego grała... Tą bronią walczył on przeciwko wrażeniu, jakie na nim czynił poeta, z ciężkością mu się mogąc oprzeć.

Po powrocie do mieszkania wszyscy już byli znużeni, i Adrian pierwszy zażądał się usunąć do swego pokoju dla spoczynku. Profesor, który

bardzo to pochwalił, sam jednak wyszedł na balkon, po cichu może powtarzając swojego Horacjusza :

*Nox erat, et coelo fulgebat Luna sereno,
Inter minora sidera.*

Hrabia Marjan, który nierad się sam z sobą zostawał i zabawiał, pociągnął za nim.

— Panie profesorze — odezwał się po chwili, od niedawna mam przyjemność znać pana dobrodzieja, ale wspólna przyjaźń dla Adrjana zbliża nas do siebie. Mówmy o nim jeszcze. Ja go znajduję w stanie nienormalnym, i lękam się o niego.

Odwrócił się Sieniuta.

— Czego? zapytał niespokojnie.

— On się tą monomanią poetyczną zabija; na to radzić potrzeba — zawołał hrabia.

— Nienormalny to stan, prawda, rzekł profesor, ale i człowiek niepospolity. Nie można go mierzyć piędzią innych ludzi.

— Ale kto go kocha, musi się starać wydzwignąć go z tego!

— Nie wiem czy to możliwe jest za sprawą cudzą — rzekł Sieniuta spokojnie. Znałem go dzieckiem, jest to natura nie łatwo z zewnątrz się ująć dająca. Chcąc działać nań, potrzeba się owszem strzedz, aby nie wywołać w nim reakcji...

Tu profesor zatrzymał się trochę.

— W końcu — dodał — zdaje mi się, że głównie iść powinno o to nie żeby go uzdrowić i wytrzeźwić, lecz by to upojenie w istocie wydało owoce, jakich się on po niem spodziewa...

Potrząśł głową hrabia.

— Zapatrujesz się pan na to z zupełnie różnego stanowiska niż ja; próżnoby więc rozprawiać... Mnie żal człowieka, panu poety. Maszże pan jakiegokolwiek pojęcie, czem być może ten jego poemat?

Sieniuta ożywił się widocznie.

— Nie znam poematu, ale autora na moich rękach wykołysałem, zawołał. Spodziewam się po dziele jego, na które wyszafował wszystkie siły młodości, całą świeżość myśli, niepokalane niczem uczucie, fantazję oskrzydloną ogromnem czytaniem i pracą — spodziewam się wiele! bardzo wiele...

Jeżeli z tej rośliny pielęgnowanej tak starannie nie wykwitnie arcydzieło...

Profesor dokończył tylko westchnieniem.

— Kochany pan możesz miłością dla własnego dzieła zaślepić się nieco — dodał Marjan — a mnie, przyznaję się, okrutnieby żal było człowieka, gdyby się tak zmarnował na jedno — marzenie!

— A życie czemże jest? spytał Sieniuta cicho. Jeżeli marzenie to czyni go szczęśliwym, mamyż my prawo rozbudzić go z niego?

— Jabyś rad był szczerze, aby go ta śliczna miss Rosa wprowadziła w świat rzeczywisty — odezwał się hrabia. Zdaje mi się, że dziś się trochę zbliżyli.

Profesor potrząsł głową z niedowierzającym uśmiechem.

— Bądź co bądź sądząc, konkludował hrabia, że niepowinniśmy go opuszczać, i pozostać przy nim jak najdłużej.

— Co do mnie, mam to sobie za obowiązek, odparł profesor; a spełnienie jego nic mnie nawet nie będzie kosztowało, bom sam na świecie i swobodny...

Marjan widząc, że więcej nic ze starego nie wyciągnie, dał mu dobranoc i poszedł do siebie. Drzwi jego pokoju dzieliły go tylko od Adrijana, mógł więc słyszeć, że poeta żywo się przechadzał, że kilka razy papier zaszeleścił i pióro zakrzypiało.

Szanując tę chwilę natchnienia, Marjan zachował się jak najciszej, położył w łóżko, zadumał, zadrzemał, i gdy nade dniem już coś go przebudziło, zdumiał się słysząc jeszcze chodzącego poetę, szeleszczący papier i skrzypiące pióro.

Całą więc noc spędził na pracy... Hrabia potrząsł na to głową, i kładąc się do snu na bok drugi, postanowił nazajutrz uroczystą dać burę przyjacielowi.

Dzień już był wielki, gdy się pobudzili i do powrotu przygotowywać zaczęli. Pierwszem staniem Marjana było dowiedzieć się o Angielkę, z którą razem spodziewał się spędzić część dnia tego w podróży do Sorrenta, ale w hotelu z uśmiechem zwiastowano mu, że od dwóch godzin te panie już się puściły w drogę.

Adrian wstał blady bardzo, zmęczony i kaszlący tak, że gdy wyszedł na śniadanie do saloniku, profesor nawet zmieszał się, widząc go tak zmienionym.

Skarżył się na wielkie osłabienie.

— Niema w tem nic dziwnego, zawolał hrabia: całuteńką noc słyszałem cię chodzącego po pokoju i piszącego coś gorączkowo. Kto tak życiem szafuje, temu go musi zabraknąć.

Poeta uściskał go milczący.

— A wy to w inny sposób nie szafujecie życiem? zapytał. Powiedz mi — noc spędzona w towarzystwie butelek i pań z lekkiego regimentu, nie kosztuje was więcej niż moja?

— Nie — krzyknął hrabia — bo my się męczymy ciałem, które młodość jutro orzeźwi, a ty gdy wycieńczysz się na duchu, straconyś niepowrotnie.

— Nie straconym — odparł Adrian — jeśli się wcielił w dzieło sztuki, które pozostanie... Wasze wysiłki są bezpłodne, moje dają owoce...

Uśmiechnął się.

— Nie żałuję wcale czuwania mego, dodał z radością, która twarz wybladłą ożywiła na chwilę. Zdaje mi się, że dawno w mej głowie noszony epizod, któremu formy nie umiałem nadać, nareszcie porodziłem szczęśliwie. Wiersze mi płynęły — jestem z nich kontent.

Sieniuta właśnie się był przybliżył, sądząc, iż czegoś więcej się dowie, gdy poeta urwał nagle, i dosyć wesół poszedł do podanej herbaty, pytając o miss Rosę.

— Ranny ptaszek już odleciał o świcie — rzekł Marjan. Ja pierwszy spytałem o niego, bo mi szczebiotanie jego było bardzo przyjemne.

— A! tem lepiej — zawołał Adrjan z widoczną radością — będziemy swobodniejsi, a ja zawsze wolę się nie narażać na niebezpieczeństwo, niż potem obraniać gdy nadejdzie.

— Przyznajesz więc, iż niebezpieczeństwo jest — podchwycił hrabia.

— Nie zapieram się tego; choć dla mnie mniejsze ono może niż dla ciebie...

Natychmiast po śniadaniu hrabia począł przynaglać w drogę, dowodząc, iż później dzień będzie skwarny bardzo. Dowiedział się nawet, którą z dwóch dróg wiodących z Castellamare do Sorrenta udały się te panie, i namawiał, ażeby się za niemi udali. Adrjan przenikając myśl jego, oparł się temu, i wymógł wybór gościńca nowego... Znowu tedy na tych samych

osiołkach, w towarzystwie dawnego przewodnika, puścili się, ale już po nad morzem, po skałach, mając ciągle prawie przed sobą zatokę niebieską i Neapol nad nią rozsiadły.

Nie spiesząc wcale, nad wieczór dopiero, to jest w sam czas obiadu u pana Tramontany, stanęli przed domem Adrjana, którego gospodyni wyszła wymawiając mu, że o niego była niespokojna.

Poeta obu towarzyszków swych uparcie chciał mieć u siebie. Gotowe dla nich łóżka i pokoje się znalazły.

Zaledwie wypocząwszy chwilę, hrabia na obiad zapraszał, prawie pewien będąc, że się z Angielką, niezmiernie go zajmującą, u Tramontany spotkają. Adrjan obu im iść radził ale sam czując potrzebę spoczynku, a może samotności, zapowiedział, że w domu będzie obiadował.

Poszli więc z profesorem. Nie omyliła ich nadzieja: miss Rosa siadała właśnie do stołu, gdy hrabia się zjawił. Lekkiem głowy skinieniem odpowiedziała na ukłon jego, i spytała o — towarzysza.

— Przyjaciół mój... trochę się czuł drogą znużony — odparł Marjan.

— Nie chory? spytała Angielka.

— Ani zdrow, ani słaby — począł hrabia — poeci bywają zwykle w jakiejś półgorączce, dla nas prostych śmiertelników niezrozumiałej. Przez

całą noc pono czuwał i pisał coś, naturalnie że go to wyczerpać musiało.

— Panowie jesteście szczęśliwi, że język jego rozumiecie — rzekła Angielka, — i wszystkiemi temi ślicznemi rzeczami napawać się możecie!

— Właśnie że doświadczamy męczarni Tantala, odparł Marjan — bo Adrjan nikomu nie nigdy nie czyta, i ani ja, ani profesor, do którego ma największe przywiązanie i zaufanie, dwóch jego wierszy nie znamy!

Miss Rosa zdawała się mocno zdziwioną; zwróciła się do profesora, zagadując go o Adrijana, jakby się o nim chciała czegoś więcej dowiedzieć. Sieniuta, który rad o swym wychowauću prawił, z nadzwyczajnem przejęciem począł opowiadać dzieje młodości jego, genialne usposobienie, poświęcenie dla poezji i t. p. Malował go z miłością wielką i obraz w żywych barwach przedstawił, idealizując go jeszcze. Marjan z małym wyrazem szyderstwa przysłuchiwał się temu, nie przeczył, dodawał nawet rysów, nie zawsze wybranych szczęśliwie, i obiad zszedł prawie wyłącznie na rozmowie o nieprzytomnym poecie.

Angielka nie ukrywała wielkiej swej sympatji dla niego. Hrabia jednak z samej tej otwartości wnosil, iż zajęcie się Adrijanem pięknej pauny, było tylko fantazją artystyczną jak inne — a z sercem nie miało związku.

Czy go to znartwiło, wątpimy bardzo. Zajęty mocno piękną Rosą, mógł sobie pochlebiać może, iż nie mając współzawodnika niebezpiecznego, łatwiej się do niej zbliżyć potrafi. Na nieszczęście Angielka, jakby odgadywała jego myśli (a przeniknąć ich nie było trudno) — zdawała się z wielką usilnością unikać go, i pilno starać, aby się próżno nie łudził. Po obiedzie gdy inni najżywszą właśnie rozpoczynali rozmowę, miss Rosa z pospiechem opuściła salę.

Profesor i Marjan nie mieli już tu po co dłużej przesiadywać, i powrócili do Adrijana.

Znaleźli go rozebrany, przy szczątkach obiadu, mało co poruszonego, zajęty już papierami, z ołówkiem w ręku.

Chcieli się cofnąć zaraz, ale poeta papiery rzuciwszy pod poduszkę, bo je tam najczęściej trzymał, poprosił ich, żeby nie uciekali, bo odczytywał tylko i poprawiał epizod wczorajszy — a gdy wchodzili, właśnie był robotę dokończył.

— Nie mogę pojąć Byrona, rzekł, o którym słyszałem, że w chwili natchnienia tysiącami wierszy rzuca na papier, a potem nielitościwie je kreśli, wybierając z nich tylko najświetniejsze, najszcześliwsze... Ja nie umiem ani przerobić, ani poprawić. Gdy to, com napisał, zda mi się słabem i ułomnem, rzucam wprost w ogień, czekam drugiej natchnienia chwili i piszę na nowo... Ortopedyczne doświadczenia nad moimi dziećmi są dla mnie wstrętliwe. Pojmuję co naj-

więcej, że rozczochrany włos przyczesać można lub zwalanego obmyć buziaka — ale wyciągać i obcinać!

— To znaczy, żeś się improwizatorem urodził — rzekł Marjan.

— Bardzo być może — odparł poeta; a jednak nie potrafiłbym improwizować słowem żywym, chyba w tak nadzwyczajnej chwili życia, jakiej nawet przypuścić nie umiem... Potrzebaby na to było słuchaczów, których serca biłyby z mojem zgodnie; uniesienia, coby po nad ziemię porwało; wypadku jakiegoś, coby upoił aż do zupełnego zapomnienia o sobie; zabicia człowieka, aby ustąpił miejsca poecie.

To mówiąc, zakaszlał się mocno Adrjan, przyłożył chustkę do ust, i choć ją nadzwyczaj prędko schował, Marjan dostrzegł z przestraszchem, że — pluł krwią.

Widoczne było, że się z tem tał. Profesor i on spojrzeli po sobie, natychmiast rozmowę sprowadzono do mniej rozdrażniających przedmiotów, a Sieniuta począł namawiać do spoczynku.

Adrjan był właśnie usposobiony do mówienia i trochę kwaśno przyjął rady.

Dotrzymywali mu więc jeszcze dwaj towarzysze czas jakiś, niewiele mówić dozwalając, i pożegnali go wymógłszy przyrzeczenie, że się wcześniej spać położy.

Zaledwie wyszli od niego, Marjan pociągnął z sobą profesora do swojego pokoju.

— Radźmy, rzekł gorąco — to już rzecz sumienia: życie jego zagrożone. Widziałeś pan, że krwią pluje! On ma suchotniczą fizjonomię. Na Boga!

Staremu stały łzy w oczach.

— Tak jest — zawołał — chodzi o jego życie. Ale miał przecie lekarza, matka się radziła o niego, potrzeba spytać gospodyni o nazwisko i udać się do niego.

Signora Costa na zapytanie o lekarza, najprzód mocno się wylękała; potem z wielomowstwem włoskiem i żywą towarzyszącą mu gestykulacją, poczęła opowiadać, że doktor Salicetti, jeden z najślawniejszych z Neapolu, był przez matkę umówiony, aby Adrijana pilnował, że zwykł przyjeżdżać raz w tydzień i zapewne nazajutrz tu będzie.

Oczekiwano więc na Salicettego. Nazajutrz jednak Adrijan wstał orzeźwiony, z lepszą twarzą, silniejszy, wesół, i patrząc nań zdawało się, że niebezpieczeństwa być nie może.

Około południa corricolo niepoczesne wiozące pana Salicettego, zatrzymało się przed bramą, a z niego wysiadł nie stary jeszcze, ale siwy przedwcześnie mężczyzna, słusznego wzrostu, który zdawał się śpieszyć bardzo. Wpadł też jak bomba do pokoju Adrijana, i Marjan, który nań czatował, posłyszał zaraz wesóły głos,

podniesiony bardzo, potem śmiechy i żywą rozmowę. Z wesołości doktora wnosić należało, że chory nie mógł się mieć tak bardzo źle. Aby się jednak coś o tem dowiedzieć, profesor i Marjan postanowili wyjść za bramę i o kilkanaście kroków od willi oczekiwać na doktora.

Kwadransa nie trwały odwiedziny u pacjenta, doktor Salicetti z tym samym pośpiechem, z jakim wpadł, wybiegł napowrót, siadł do wózka, i jechać miał dalej, gdy go za murkiem czatujący zatrzymali.

Zdziwiony nieco, lecz domyślając się w nich chorych zapewne, siwy doktor wydobył się napowrót ze swego wózka, i z wielką uprzejmością ofiarował się do usług, badając już oczyma tych, których za przyszłych pacjentów uważał.

Zaprezentowali mu się jako przyjaciele Adrjana, a doktor z wesołego usposobienia przeszedł w dosyć posępne.

— Pan konsyljarz darujesz nam — rzekł hrabia Marjan — chcielibyśmy się coś od niego dowiedzieć o prawdziwym stanie zdrowia przyjaciela naszego. On pluje krwią.

Doktor Salicetti dał znak potakujący. Stał chwilę w niepewności i namysłach, ręce rozwarł szeroko i rzekł poważnie a chłodno :

— Przed panami tego tać nie potrzebuję. Stan pacjenta jest — mogę powiedzieć — desperowany od dawna... Matce nie miałem po-

trzeby się z tem odkrywać. Wyprawiono go do Włoch za późno, gdy choroba już była rozwinięta. Powietrze ani my nie na nią poradzić nie mogliśmy. Być może, że klimat przedłuży mu życie; żeby mu je uratował, jest niepodobieństwem... Sam wiek tego pana czyni chorobę niebezpieczną.

Słuchający stali jak wryci pod wrażeniem tego zimno dosyć wygłoszonego wyroku. Sieniuta miał na oczach łzy, załamał ręce.

— Jakże długo się to ciągnąć może? zapytał Marjan.

Doktor Salicetti brwi podniósł mocno, wydał usta, ruszył ramionami.

— Niepodobna oznaczyć czasu — odparł. Widzieliśmy przykłady w Pizie, na Elbie. niezmiernie, nadzwyczaj długo przeciągniętego życia suchotników, ale w warunkach szczęśliwych, o które tu trudno.

Nie czekając zapytania o wyjaśnienie, doktor Salicetti, już patrząc na zegarek, bo mu bardzo było pilno — dodał:

— Tak, warunki tu są wcale niedobre. Ten pan ani się szanuje, ani myśli o utrzymaniu życia. Zdaje się sam pobudzać do gorączki, która go trawi...

— I powietrze neapolitańskie nie może dla niego być dobre! przewzał Sieniuta.

— Zapewne — odparł doktor — jest za nadto też stymulujące... ale...

Ręką machnął, i nie kończąc zabrał się do pożegnania.

Sieniuta i Marjan stali długo, po odejściu jego, nie mogąc przemówić słowa.

— Należałoby napisać do matki, wtrącił stary po cichu — ale jakże jej zadać cios taki?

— Potrzebaby go ztąd wywieźć — dodał Marjan, ale jak się do tego wziąć, aby go nie przestraszać?

Sieniuta namyślił się nieco, i dodał z wyrazem mężkiej determinacji:

— Zostaw mi to wszystko, hrabio. Opatrzność mnie istotnie tu sprowadziła; spełnię mój obowiązek. Bądź mi tylko pomocą.

— Pod wasze rozkazy się poddam — zawołał Marjan, którego na chwilę szyderskie u-sposobienie opuściło.

Szli nazad do willi.

Adrijana zastali znowu nad stosem papierów porozrzucanych. Zobaczywszy wchodzących z rozpromienioną twarzą wstał na przywitanie.

— Gdzieżeście byli? zawołał. Byłbym was poznał z tym najpocześniejszym z doktorów, który mnie czasem niepotrzebnie odwiedza, bo ja jestem zupełnie zdrow. Doskonały człęk, zawsze wesół, a jego dobry humor najlepszym dla chorych lekarstwem.

— Ja go znam, skłamał Marjan. Właśnie gdy ztąd jechał, spotkaliśmy go... Jakże was znalazł po nużącej podróży do Castellamare?

— A no jak zwykle! rzekł Adrian.

— Nam przecie powiedział, przerwał Sieniuta, że potrzebujecie spoczynku, rozrywki i pilnego starania o zdrowie... Ja tu jako dawny nauczyciel myślę, powagę doktora wzięwszy na siebie — rozciągnąć kuratelę.

Adrian się zarumienił.

— Dajcie mi pokój! zawołał trochę niespokojnie, patrząc na Sieniutę: czuję się zdrów, trochę tylko znużony. Ręczę, że któryś z was dopatrzył mój kaszel wczorajszy — trochę krwi!! Ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Sali-cetti przypisuje to naszej narodowej chorobie.

— Jak ono jest to jest, odezwał się Sieniuta — ja narzucam się z moją opieką i domagam posłuszeństwa.

Adrian potrząsł głową, uściskał starego i zawołał:

— Zadnego despotyzmu nie znoszę. Chcieć mi rozkazywać jest to ducha niepodległego do buntu wyzywać.

Zamilkli nieco, Murjan i profesor porozumieli się oczyma... Hrabiemu myśl przyszła trochę dziwna może, troskliwością o przyjaciela usprawiedliwiona: zakręcił się i pod pozorem jakiegoś interesu, wysunął...

Na nudy chroniczne, które były jego chorobą, szczególnym sposobem mu się szczęściło: miał zajęcie niepospolite, wpadł prosto w dra-

mat fantastyczny, mający się tragicznie zakończyć. Na jakiś czas mógł nawet pod wrażeniem jego być zupełnie serjo i wyrzec się szyderstwa.

Wielce ożywiony, pospiesznym krokiem biegł Marjan do hotelu wprost, w którym mieszkała miss Rosa. Nie potrzebując jej szukać znalazł ją na ślicznej tarassie studjującą efektu morza, światła i cieniów na opalowych falach, pasami turkusowemi, pręgami szmaragdowemi poprzecinanych. Angielka nie spodziewająca się napaści, na widok hrabiego ruszyła się z miejsca, jakby uciekać chciała. Marjan zbliżył się śmiało.

— Widzisz mnie pani pod wrażeniem, które mogę powiedzieć, życie we mnie zatamowało! zawołał. To może wytłómaczy, że jestem natrętny. Spotkało mnie nieszczęście...

Miss Rosa słuchała bardzo zimno, nie mogąc jeszcze ani zrozumieć, ani się domyślić o co chodziło, i dla czego miała być powiernicą wrażeń hrabiego.

Trochę dumne zdziwienie malowało się na pięknej jej twarzyczce.

— Przed chwilą, mówił hrabia dalej — podpatrzyłem mojego przyjaciela Adrijana, iż — krwią pluje. Przestraszyło mnie to, udałem się do lekarza jego, a ten mi wręcz oświadczył, że przyjaciel mój od dawna jest na śmierć skazany.

Angielka z widocznem wzruszeniem pobladła, ręce jej mimowolnie się ścisnęły.

— Któż to panu mówił? spytała głosem drżącym.

— Dr. Salicetti — ciągnął dalej hrabia. Miarkuje pani, jak straszliwie to mnie i profesora przejęło. Doktor powiada o nim, że sobie życie skraca pracą, od której go nic oderwać nie może...

— Napiszcie państwo do matki! wykrzyknęła miss Rosa.

— Matkę oszczędzać też należy — odezwał się Marjan — a nim ona przybędzie, my, my z profesorem, żadnej nad nim władzy nie mamy.

Tu wstrzymał się i spojrzał wyraziście na Angielkę, która się zarumieniła mocno.

— Sądzę, że gdzie idzie o życie człowieka, dorzucił Marjan spiesźnie, tam światowe względy na bok odłożyć się godzi...

Przyszło mi na myśl, czego jestem pewien, że pani masz wielką nad nim władzę. Dlaczegożbyś jej nie miała użyć, aby mu przedłużyć życie?

Smiało to wyrzekłszy, Marjan patrzył na miss Rosę, nie wiedząc jak to przyjmie. Angielka stała zadumana poważnie i smutna, nie okazując, aby się uraziła przypuszczeniem, lub za złe je wzięła.

— Dziwnem to jest co mi hrabia powiadasz, poczęła po namyśle. Nie sędzę, ażeby to tylko żartem niesmacznym i mistyfikacją być miało.

— O pani! przerwał Marjan.

— Zdaje mi się wszakże, iż hrabia mylisz się w swem przypuszczeniu. Nie zaprzeczam, że pan Adrjan, ze swą poetyczną naturą, był mi zawsze sympatyczny, lecz nigdyśmy z nim bliżej nie byli. Unikał mnie częściej niż zbliżyć się starał; o moim wpływie na niego bardzo wątpiewać muszę.

— Nie śmiałbym rzucać takiego przypuszczenia, dodał Marjan, gdyby to, co z ust Adrjana słyszałem, nie dawało mi pewności, iż się nie mylę. Adrjan mi wyznał sam, że się pani lękał, że od niej uciekał, bojąc się jej władzy nad sobą. Jest tak zajęty biedak swoim poematem, że wszystkiego się boi, co go odrywać może.

Miss Rosa stała zapłoniona znowu, słuchając tego zwierzenia, lecz nie zmieszała się niem wcale. Nad wyraz była poważna i zasmucona, tak, iż o sobie się zdawała zapominać... Milczała długo, a hrabia stał, napróżno oczekując odpowiedzi.

— Jest więc tak źle! wyjąknęła po chwili. Cóż robić aby — jeżeli go nie ocalić, to choć życie to przedłużyć? Mów pan...

— Jestem pewien, zawołał hrabia, iż roz-

kazu pani posłucha. Każ mu porzucić zabójczą pracę, zmusz go pani do rozerwania się.

Miss Rosa dziwnie jakoś poruszyła z lekka ramionami, padła na krzesło i zadumała się, zapominać zdając się o hrabi.

— Daj mi pan czas do namysłu, rzekła cicho — potrzebuję rozważyć coś mi pan powiedział. Położenie jest nadto dziwne, by mojego wzruszenia nie tłumaczyło.

Usłyszawszy tę odprawę, hrabia grzecznie się skłonił, nastąpił na bok, przeszedł się po tarasie, spojrzął na morze, i powolnym krokiem zwrócił się ku domowi.

Parę tygodni upłynęło od opisanego spotkania hrabiego z miss Rosą. Adrian, chociaż kaszlał i pluł czasem krwią, tając się z tem przed przyjaciółmi, nie zdawał się wcale gorzej. Owszem, miewał chwile, w których młodość powracała, a choroba zdawała się ustępować. Sieniuta i hrabia nie odstępowali go, i gdyby nawet chcieli opuścić, nie byłby pozwolił na to, tak mu z nimi dobrze było. Lecz profesor na próżno usiłował wymódl na nim, aby przez czas jakiś wypoczywał zupełnie i o poezji zapomniał.

— Mój drogi, odpowiadał mu Adrian: gdybym nawet dla twojej spokojności chciał to uczynić — nie mogę. Poezja ta i tworzenie stało się

dla mnie nałogiem. Napróżno się z niego usiłuję otrząsnąć, myśli mnie nachodzą, dręczą, nie dając pokoju nawet we śnie. Tworzenie to, choćbyś je nazwał chorobliwym, jest potrzebą już, stało się koniecznością. Mózg mój powraca do niego mimo mej woli. Wśród rozmowy, w spoczynku, między przyjaciółmi, gdy się na pozór zajmuję czem innym — napadają mnie widziedła, dręczą upiory moje...

Po rozmowie z miss Rosą hrabia unikał już jej wznowienia, przekonywając się, że Angielka też starała się od tego uchronić. Nie otrzymał ani odpowiedzi, ani zapewnienia żadnego. Jednakże z taktem nadzwyczajnym i zręcznością niewieścią miss Rosa widocznie usiłowała się zbliżyć do Adrijana, tak jednak, aby odmiany w jej postępowaniu nie dostrzegł.

Poeta jeszcze się w początkach opierał urokowi jej, lecz po kilku dniach zdawało się, że naleganie profesora i wpływ miss Rosy podziały nań wreszcie.

Adrijan począł nie tylko nie unikać Angielki, ale nieznacznie jej szukać... Przed przyjaciółmi tłumaczył to, przyznać się nie chcąc, potrzebą studjowania niewieściego charakteru i duszy. Mówił, że miss Rosa jest dla niego zagadką, której rozwiązać nie umie.

Patrzący z dala dostrzegali jednak wyraźnie, iż Adrijan ulegał jej urokowi — i — ona, w początkach bardzo ostrożna, nieco chłodna, zapo-

minać się zdawała. Taka miłość ujęta w formy towarzystwa, do którego oboje należeli, nie groziła wybuchem żadnym, ale mogła się stać cichym dramatem.

Adrian był rozmarzony, sam się nie przyznając do tego przed sobą; miss Rosa w tej tragicznej miłości bez nadziei, dla człowieka na śmierć skazanego — może napawała się poezją, której była namiętną kapłanką. Broniła się widocznie uczuciu ogarniającemu ją, coraz bezsilniej. Chwilami poddawała mu się z rezygnacją — zapominała...

Adrian teraz codziennie chodził do Tramon-tany, codziennie po obiedzie do mroku przesiadywał na tarasie, zagadywał się sam na sam z miss Rosą i gdy go napędzano do domu, wracał cały rozogniony, tak, że co lekarstwem być miało, groziło już prawie niebezpieczeństwem.

Profesor namyśliwszy się, uznał za swój obowiązek napisać do matki. Uczynił to w sposób jak najoględniejszy, nadał pismu ton prawie wesoły, aby nie zdradzić niepokoju, — donosił jednak, że zdrowie Adrijana, zdaniem lekarzy nawet, potrzebuje wielkiej czujności i starania, a nadewszystko oka matki, bo obcych poeta nie słucha. Dał do zrozumienia, iż przybycie jest konieczne. Pewien był, że pani Klara zrozumie tę płataninę listu jego, i domysli się, co jej do czynienia pozostało. Oczekiwano więc matki.

Tymczasem stan Adrijana wcale się nie polepszał; nie dręczył się wprowadzie poematem, bo go od niego odrywano, ale miłość, z którą walczył, wprowadzała go w równą twórczej gorączkę.

Bronił się jej, chciał uciekać — i codziennie odkładając ostateczne zerwanie, brnął coraz więcej — kochał się szalenie, wyrzucał to sobie, w sumieniu czuł zgryzotę, że mając uleść namiętności, nie powrócił raczej do Leni, a przywiązał się do istoty obcej, do — zagadki.

Miss Rosa zawsze jeszcze była dla niego tą zagadką, bo mu się okazywała tak różną w dniach i godzinach rozmaitych, że z uszczęśliwienia ciągle wpadał w rozpacz. Wieczorem czasami ożywiali się oboje, rozchodzili upojeni, nazajutrz Angielka była pomieszana, ostygła, jak gdyby zapomniała o dniu wczorajszym. W ogóle jednak stosunek ten stał się nawet dla obcych widocznym, a pani Trellawney, która miała zaufanie swej towarzyszki, odważyła się wreszcie uczynić jej pewne uwagi.

Znajdowała niewłaściwem, aby piękna, młoda, bogata, utalentowana miss Rosa poświęcała się człowiekowi na śmierć skazanemu, co już dla nikogo tajemnicą nie było. Romans ten nad grobem przerażał ją, oburzał, przywodził do rozpacz. Znając miss Rosę, przewidywała wieczną żalobę... Ona lepiej niż inni mogła zbadać młodą

swą przyjaciółkę i odgadnąć, że serce jej, długo obojętne, zagrożone było.

Jak daleko zaszedł Adrjan w swym stosunku z Angielką, nawet bystry postrzegacz i wielki znawca ludzi hrabia Marjan, (który utrzymywał, że jego domysły prawie zawsze się sprawdzają dlatego, że rachował na złe strony charakterów ludzkich) — nie umiał wywnioskować. Pytać poety było próżno. Tak samo jak się nie popisywał z poematem, nie zwierzał się też z uczuciami. Widziano go w coraz większem uniesieniu nad miss Rosą, jej rozumem, poczuciem artystycznym, charakterem, nieskończonemi przymioty — ale z tych pochwał nic nie można było wyciągnąć. Czasem ubolewał, że nie była Polką, to znów, że on się nie urodził swobodnym i pospolitym człowiekiem, mogącym sięgnąć po szczęście bez zgryzoty sumienia.

Poemat był nieco zapomniany. Profesor czuwał, nie dając Adrjanowi ani mówić o nim, ani się brać do niego. Nie było jednak dnia, by się nie zdradziła jakaś chęćka namiętna powrócenia do dawnych zwyczajów, marzenia i pracy. Dobierano umyślnie takie do rozmów przedmioty, aby nie miały z poezją i sztuką związku, a gdy poeta wpadał na nie, odrywano go gwałtem od rozpraw. Hrabia Marjan był niewyczerpany w opowiadaniu anegdot, cytowaniu dowcipów, chwytaniu i upięknianiu plotek.

Obaj z professorem tęsknie oczekiwali przy-

bycia matki, czując, że środki, jakimi osłaniali chorego, wkrótce się wyczerpać miały. Sieniuta zaczynał się obawiać miłości dla miss Rosy, która z rozrywki i dystrykcji, groziła przemianą na dramat tragiczny.

Jednego wieczoru, jak zwykle, Adrian przy krześle Angielki usiadłszy po obiedzie, do bardzo późnej godziny nadzwyczaj żywą i namiętną prowadził z nią rozmowę. Sieniuta z hr. Marjanem chodzili z dala, nie przeszkadzając mu i odgadując z poruszeń i fizjognomji stosunek tych dwóch istot, tak dziwnym losem zbliżonych do siebie. Dnia tego poeta był natarczywszym i zuchwalszym niż zwykle, kilka razy chwycił za rękę miss Rosę, przytrzymał ją — zbliżał się do niej, głos podnosił, roznamietniony był wielce. Angielka zdawała się go uspakajać, łagodzić i cierpieć z nim sama. Parękroć ręką machinalnie ucisnęła serce. W chwili gdy spór jakiś doszedł był do najżywszego wyrazu — miss Rosa wstała nagle, kilka słów rzuciła mu, ścisnęła rękę jego i krokiem spieszniejszym niż zwykle, weszła do domu. Adrian pozostał w miejscu jak wkuty, potem przeszedł się razy kilka i opodał zadumany siadł w krześle. W tej chwili z okna mieszkania miss Rosy, które wychodziło na tarasę, dał się słyszeć głos fortepianu. Wszyscy wiedzieli kto grał — Mendelssohnowska pieśń jakaś za-brzmiała takim wyrazem smutku, taką boleścią

serca, że nawet Marjan uczył się nią przejęty. Adrian podniósł głowę, słuchał, a gdy ostatnie dźwięki przebrzmiały, jak upojony zwrócił się zapomniawszy o swych towarzyszach ku domowi. Profesor i hrabia napędzili go już w lasku pomarańczowym, przez który przechodzić musiał. Włókł się zwolna zatopiony w sobie, zadumany i na pół nieprzytomny. Usłyszawszy za sobą ich rozmowę, nie zatrzymał się jak zwykle.

Marjan zartobliwie go zagadnął i nie otrzymał odpowiedzi. Załedwie pół słowem zbywając ich, doszedł aż do willi. W bramie przyznał się profesorowi, że się czuje niedobrze.

Głos miał jakby stłumiony i ochrypły; ocierał z potu czoło, a choć starał się uśmiechać, wyraz jakiejś trwogi okrywał twarz bladą.

Wchodzili na wschody (bo od drogi kilka ich wiodło na parter), gdy nagle zatrzymawszy się kaszlnął Adrian, oparł się o mur, i chustkę przyłożywszy do nst, odjął ją całą krwawą.

— To darmo, zawołał z wysiłkiem — nie ma się co łudzić — jestem chory, jestem bardzo chory. Walczyłem z tą chorobą, usiłując ją zwyciężyć siłą młodości i woli — choroba wzięła górę...

Sieniuta coś przemówił do niego, chwytając pod rękę i wprowadzając do pokoju, Adrian nie słuchał.

— Dziś to już drugi raz — rzekł — jestem osłabiony, w piersiach mi brak powietrza, oddychać nie mogę...

Podano jakiś napój chłodzący przepisany przez doktora, zakrzętnęli się około niego wszyscy, posadzono go na kanapie. Był na pół omdlały... Długo dosyć panowało milczenie, gdy nagle rzucił się, powstał i zawołał jakby sam do siebie :

— Wszystkiemu winna ta nierozsądna... ta miłość bez celu, świętokradzka i płocha...

Bawić się z sercem! — zabawa taka musi się kończyć karą straszną...

Padł znowu na kanapę.

— Zszedłem z drogi mi wyznaczonej — dodał — owoc życia całego zmarnować się może... Nie! nie! trzeba wyjść z tego błędnego koła, które do niczego nie prowadzi, powrócić do pracy!...

Mam umrzeć, niechże ślad zostawię po sobie, że w tej piersi i w tej głowie coś było, coś żyło... coś złożył Bóg — a jam wypiastował...

— Kochany Adrjanie — przerwał mu profesor, — nie pora o tem myśleć i mówić. Nie sądzę, ażeby ci zagrażało niebezpieczeństwo, ale potrzebujesz spokoju. Porzuć te marzenia...

— To nie są marzenia — zawołał gwałtownie Adrjan — to nie marzenia, to najstraszniejsza rzeczywistość. Czuję nadchodzącą śmierć

a poemat mój nieskończony. Potrzeba rzucić wszystko dla niego.

— Potrzeba najprzód mieć na to siły — przerwał Marjan. W tym stanie rozgorączkowania nie jesteś do niczego zdolny!

— Jestem zdolny wydać jeszcze przerażający krzyk rozpacz, zawołał poeta — który najlepiej zakończy poemat dziejów ludzkości, bo jej losy zamkną się w nim całe... Życie nasze i jej — to droga do przepaści ciemnej. Na brzegu jej pieśń zwątpienia — to będzie koniec życia i pieśni.

Z gorączkowym niepokojem rzucił się Adrian szukając klucza, który ciągle nosił przy sobie, aby otworzyć tekę i dobyć z niej dawno już nietknięte karty. Napróżno profesor chwycił go za rękę, błagając, a Marjan wysilał się na argumenta. Adrian nie odpowiadając na nie, rozrzucił papiery i chustkę trzymając przy ustach, cały się w nich zatopił. Niekiedy porywał się za piersi i głowę, ale cierpienie nie mogło go oderwać od czytania. Przebiegał oczyma luźne zrzynki pozapisywane gęsto piórem i ołówkiem, składał je z sobą — rzucał, zamyślał się. Widok tego chorego i w gorączce człowieka wysilającego się na skupienie myśli, na trud zabijający — był tak straszny, iż Sieniuta musiał odejść do okna, aby się nim nie truć. Oddalić się całkiem nie mógł, — a dłużej zniesć nie miał siły.

Marjan zimniejszy, siedział o kilka kroków i czekał na sposobność, aby Adrijana oderwać od pracy, odwrócić myśl jego od niej. Kilka razy próbował doń przemówić — napróżno. Poeta podnosił głowę, patrzył chwilę i nie odpowiadając zatapiał się znów w czytaniu.

Irabria posłał był po doktora, lecz przy największym pośpiechu, prędzej niż z rana spodziewać się go nie było można.

Tymczasem noc letnia ubiegała, było już z północy, gdy Adrijan jakby mu się wyczerpały siły, pochylił się na kanapę i nie składając papierów, z zamkniętymi oczyma wpadł w sen czy ekstazę. Profesor korzystając z tego, zwoła lampę wziął ze stołu i odniósł ją do przysłoniętego kąta. Na palcach wyszli z Marjanem do drugiego pokoju, i nie mówiąc nic do siebie, siedli przy drzwiach na czatach. Z salki, w której Adrijan leżał, nic długo słyhać nie było, potem oddech cięższy już uspiętego dochodził ich tylko...

Irabria wysunął się spocząć, a stary profesor postanowił pozostać tu do rana. Reszta nocy spłynęła spokojnie; kilka razy tylko westchnienia ciężkie doszły uszu jego. Podchodził na palcach chcąc się przekonać czy nie może w czem pomódz i posłużyć, ale Adrijan otwierał tylko oczy na krótko, i natychmiast znużone powieki opadały na nie.

Dniało już, gdy Adrjan się poruszył, usiłował wstać, aby przejść do łóżka, ale o własnej sile już nie mógł, i Sieniuta wzięwszy go pod rękę, milczącego poprowadził, sam rozebrał i położył, tak jak niegdyś swawolne dziecko układał do snu przymusowego.

Lzy ciągle mu się w oczach kręciły, myśląc o tym kwiecie tak wcześnie usychającym na lodydze... Mieszkanie Sieniuty przytykało do sypialnego pokoju, otwarłszy więc drzwi jego, stary poszedł usiąść w krzesło nierozebrany, aby być na zawołanie.

Dzień był jasny, gdy wchodzący po cichu dr. Salicetti i hrabia, obudzili go. Lekarz fraszobliwie zacierał swe długie włosy siwe. Musieli wyjść na rozmowę do innego pokoju, aby choremu snu nie przerywać. Opowiedziano symptomata, doktor milczał zakłopotany.

— Nie mogę ja na to nic — rzekł po chwili. Nie zastosowano się do przepisów.... Hrabia mi opowiada o jakimś romansie, który musiał stan pogorszyć. Krew wzburzona... Kto się sam zabija, temu żaden doktor nie pomoże...

Wtem gospodyni nastraszona przybiegła, targając za suknię doktora i wołając, że chory go wzywa do siebie.

Wchodząc zastali Adrijana, siedzącego na łóżku, a że nie miał nic na sobie oprócz koszuli, mogli się dopiero przekonać o przerażającym jego wychudzeniu. Twarz była woskowo

blada, a rozrzucone i już przerzadłe włosy, dodawały jej wyrazu straszego. Widocznie jednak chciał być spokojnym, i przybrał postawę poważną.

— Żle ze mną jest, kochany doktorze, zawołał głosem przerywanym. Widzę, że mi chcesz odpowiedzieć, iż winienem temu sam — ale ja to wiem. Nie idzie o to kto winien, lecz żebym mógł życie przedłużyć — bądź co bądź — nie jestem gotów...

Chcę widzieć matkę, mam robotę do skończenia, pracę życia całego, którą w piec wrzucę, jeżeli skończona nie będzie.

Doktor nawykły nigdy nie przyznawać się przed chorymi do grożącego im niebezpieczeństwa, zmusił się do uśmiechu i ręką rzucił.

— E! e! co znowu — odezwał się wesóło. Nic nie grozi, ale potrzeba się szanować i — te imaginacje porzucić.

Wziął go za rękę, której puls był niezmierznie przyspieszony.

— Nie ma nic, kochany panie! dodał. Coś chłodzącego i spoczynek! spoczynek!

— Ja bo nie jestem dziecko! odparł poeta niecierpliwie. Czuję w sobie, że ze mnie uchodzi życie. Nie wmówisz mi zdrowia. Daj tylko środki przedłużenia tej resztki, jaka mi pozostała. Ta krew, ta krew, która wychodzi ze mnie, zatamuj ją!

Mówił tak gorączkowo, że Salicetti zmieszany, na razie odpowiedzi znaleźć nie mógł.

— To nie nie jest! powtórzył jękając się — powiadam panu, niczem krwi burzyć nie trzeba — w domu siedzieć, spoczywać i nie pisać, nie pisać!

Adrjan ruszył ramionami, nie odpowiadając.

— Przepiszę coś — rzekł ruszając się Salicetti, ale przedewszystkiem spoczynek zalecam. Nie wychodzić z domu...

Poeta położył się na poduszcze, i podparłszy się ręką, jakiś czas został nieruchomy, zadumany.

Salicetti pisał receptę — Adrjan spoglądał na swych przyjaciół, zwrócił się do profesora i szepnął:

— Zostawcie mnie z doktorem na chwilę — proszę.

Usłuchano go, i gdy Salicetti z receptą w ręku wstał od stolika, znalazł go uśmiechniętym smutnie, wabiącym ku sobie.

— Konsyljarzu! odezwał się po cichu — najprzód daj mi rękę, niech ją ścisnę. Byłeś mi życzliwy, znasz trochę mnie, że dzieckiem nie jestem. Chcę prawdy.

To mówiąc Adrjan, jakby dla poparcia prośby, przygotowany już rulonik wcisnął w rękę Salicettemu, który przyjęciu się nie odpierał.

— Nie przyznam się nikomu, żeś mi to powiedział — ciągnął dalej — bądź szczery... Krwi mi uszło dużo, trwa to dłużej niż wiesz, bom się nie przyznawał. Jak myślisz? weź puls, egzaminuj, długo to jeszcze pociągnąć może?

To mówiąc, spojrzał bystro w oczy doktorowi, i jakby w nich wyczytał chętkę łudzenia wymysłem, dodał z wielką siłą:

— Chcę prawdy. Nie idzie tu o mnie, lecz o sprawę, która nawet cenę życia ludzkiego przeważa. Prawdy potrzebuję.

Salicetti zdawał się walczyć z sobą i namyślać.

— Doktor nie jest i nie może być prorokiem. Każdy z nas sto razy doświadczył tego, iż go rachuby zawiodły. Żądasz pan odemnie rzeczy niemożliwej. Zabić się możesz, postępując nieopatrzenie — każdej godziny — ale możesz żyć i...

— Doktorze — kropisz minie święconą wodą, którą oblewasz wszystkich... to się na nic nie zdało. Idzie mi więcej niż o życie. Poemat mój nieskończony! bodajbym się miał zabić, muszę go dośpiewać — tak! Żadna siła mnie nie powstrzyma. Gdybyś mi nawet powiedział, że żyć będę, hylebym się go wyrzekł — nie przyjmę życia. Uznasz mnie za szalonego! jak chcesz! — Tak jest!

Zadumanego doktora cisnął gwałtownie za rękę, której nie puszczał.

— Chcę prawdy! Mów.

— Słowo uczciwego człowieka wam daję, odparł Salicetti, iż terminu żadnego oznaczyć nie mogę. Lecz na to wam poprzysięgam, że pracą życie skrócicie.

Chwilę panowało milczenie. Adrjan się zamyslił i mówił jakby sam do siebie :

— Pieśń jedna nieskończona, i jednej całej mi brak jeszcze. Mam ją w głowie, czuję ją, lata koło mnie i brzęczy jak mucha uprzykrzona, której złapać nie sposób. Jeden dzień, dwa prawdziwego natchnienia, wyśpiewam ją. Potem potrzeba przejrzeć wszystko i uporządkować — potem...

Gdybym miał dwa, gdyby choć jeden miesiąc czasu, i gdybyś ty był tak dobroczynnym, tak wielkim, tak łaskawym, abys mi coś dał, coby siły wzmogło, a natchnienia nie zabiło we mnie... Są przecie leki takie, są środki. Potem—niech będzie co chce!!

Salicetti zimno odparł :

— Masz pan gorączkę!

To mówiąc wstał nachmurzony.

— Bierzcie co przepisałem, więcej nie mogę nic. Spoczynek jest pierwszym warunkiem...

Widząc, że więcej na nim nie wymoże, poeta namarszczył się, zamilkł. Skłonili się sobie z daleka.

Doktor przystąpił raz jeszcze do niego.

— Zlituj się pan sam nad sobą, dodał, i nad matką swoją. Najzdrowszy człowiek może się stać samobójcą, gdy życiem szafuje...

Profesor posłyszawszy z za drzwi chód w pokoju, wyrzwał uchylając je — i wszedł.

— Proszę posłać do apteki, dodał doktor — jutro rano ja będę sam. Zobaczymy skutek lekarstwa. Z domu wychodzić nie wolno.

Tak się skończyła konsultacja, po której Adrian zaczął się natychmiast ubierać z pośpiechem, chociaż ruch żywszy trochę coraz mu oddech odbierał. Profesor domagał się i o ile mógł wstrzymywał. Hrabia tymczasem odprowadzał doktora do jego karjolki.

— Co mamy robić? spytał.

Salicetti ramionami poruszył.

— Wątpię, czy on panom da co z sobą uczynić, rzekł — uspakajajcie go. Jest źle, jest bardzo źle — a może być najgorzej, jedna godzina dobije...

Rękoma wskazał, że nie może nic, siadł do wózka i odjechał.

Położenie było prawdziwie rozpaczliwe. Sieniuta już ani na krok nie odstępował wychowawca; lecz pomimo jego prośb i błagań, Adrian napiwszy się herbaty, natychmiast siadł do papierów i na nic nie zważając, pisać zaczął.

Hrabia, który mu się napróżno kilka razy nastrecał, nie wydobył z niego ani słowa.

Kwaśny wyszedł, zrozpaczywszy, do Tramontany na śniadanie. Miss Rosa siedziała już u stołu blada i zamyślona. Postrzegłszy go samego, drgnęła.

— Gdzie pańscy towarzysze? zapytała niepokojnie.

— Adrian jest — mocno chory — odparł hrabia; doktor zakazał mu się ruszać z domu. Całą noc przy nim spędziliśmy bezsennie.

Spojrzał na słuchającą, której twarz marmurowa bladość okryła. Miss Rosa długo przemówić nie mogła.

Hrabia siadł przy niej, nie umiając i nie chcąc ukryć uczucia, jakiego doznawał. Był przygnębiony. Angielka odwróciła się na chwilę od niego, chcąc zataić wrażenie, jakie na niej wiadomość ta uczyniła. Rękami bezmyślnie targała leżącą przed sobą serwetkę. Marjan nie ruszał się z miejsca.

— Wczorajszy wieczór — dodał po cichu — musiał mu zaszkodzić. Powrócił do domu wzburzony, krew mu się kilka razy rzuciła...

Gdy miss Rosa z wolna zwróciła twarz bladą ku niemu, Marjan postrzegł na jej oczach łzy, z którymi się tać nie chciała.

Była to jedyna odpowiedź jej Marjanowi. Po chwili spojrzała na panią Trellawney, wstała z siedzenia, i skinieniem głowy pożegnawszy hrabiego, znikła z terasy.

Przez cały ranek Adrian ani wspomniał o Angielce, ani się zapytał o nią. Zatopiony w papierach, rozrzucał je, wyszukiwał urywków, które przypominał sobie, czytał, i nie zważając prawie na profesora, na kilka jego wezwań odpowledziawszy ruszeniem ramion, ciągnął dalej robotę.

Patrzeć na niego było straszno. Twarz płonęła gorączkowym rumieńcem, oczy paliły się, ręce się trzęsły, pierś podnosiła prędko z wysiłkiem wielkim, który kaszel przerywał. Naówczas chwycił napój na stole stojący, pił go chciwie, i ledwie zatamowawszy wybuch, powracał do roboty.

Okolo południa kazał przynieść śniadanie, więcej z myślą tą, że ono może dać siłę, niż z uczucia jego potrzeby.

Gdy je zastawiono, wstał od stolika i wziął profesora pod rękę.

— Wierz mi, rzekł z przejęciem — odczytuję teraz com napisał... wierz mi, są to piękne, są to wspauiące, są natchnione pieśni!!

Nie myśl, żeby miłość własna mówiła przezemnie — nie. Ja to pisałem, wyśpiewałem tak dawno, iż mogę sądzić o tem jak o dziele obcego człowieka!! Są piękności wielkie, którym się ja sam dziwię, że wyszły ze mnie...

Ale czemuż jest pojedynczy człowiek? zlewkiem ducha wieków, owocem prac i cierpień lat

tysiąców... Wyobrażam sobie pierś ludzką jak krater wulkanu. przez który bucha całe płomieje gorejące we wnętrzu ziemi. Myśmy tylko wulkanami myśli i ducha ludzkości. W każdym poecie jest cały człowiek zbiorowy...

Lecz poemat dokończyć potrzeba nieodzwrotnie—choćby wysiłkiem ostatnim — zabójczym...

Ta pieśń musi z wierzchołka teraźniejszości patrzeć w niepoścignioną dal wieków. Tu potrzeba być prorokiem i dzieckiem naszego czasu razem...

A ta chwila natchnienia!! Kto mi ją da?.. Ostatnią krwi kroplę dałbym za nią...

Sieniuta napróżno ten wylew słów wzburzonych starał się powstrzymać.

— Czasu na przepisywanie nie starczy... rzekł Adrian — ja ci to powierzę. Wszystko poprawione... Kartki policzbuję... Piśmo moje przeczytasz, bo myśl odgadniesz. Nic wyrzucać nie można — nic. Na świecie i w wielkiej epopei potrzebne są chwasty, suche gałęzie, i wydmy, i kamienie... W naturze nic nie ma zbytecznego...

Gdy po śniadaniu Marjan powrócił, odgadł zaraz poeta żkąd przychodzi, i namarszczył się zobaczywszy go.

— Wracasz od Tramontany — zawołał — potrzeba było powiedzieć jej. że jestem chory. Chcę zerwać tę chorobliwą... fantazję. To nie

była miłość, nie, choć przybierała wszystkie jej pozory; to było dziwactwo próżniaka, to było pragnienie wysuszonego brakiem napoju wędrowca... Ta miłość by mnie dobiła... Miss Rosa nigdy poety zrozumieć nie mogła...

Marjan milczał.

— Jakże ją znalazłeś? spytał.

— Taką jak zawsze, jak była wczoraj.

— I jaką będzie na wieki wieków, dodał

Adrian. Inteligencją rozumie, pojmuje wszystko, nie sercem...

— Na co ją tak uroczo piękną Bóg stworzył? — dodał. Piękność też zagadką jest jak ona — jest to pismo, które każdy niby czytać potrafi — a nikt go nie rozumie. Są piękności stworzone na zameczenie ludzi, bo stoją jak etykiety na butelkach wina, pod których złoconym papierkiem, kwas i męty.

— Nie powiesz przecie tego o miss Rosie? spytał Marjan.

Adrian rzucił się niecierpliwie...

— Nie rozumiesz więc, że potrzebuję zrazić się do niej, oszkalować ją, zbrzydzić — bo...

Nie dokończywszy, wyszedł do saloniku.

Przed wieczorem pani Trellawney przysłała pod wrota wywołać profesora i spytać go o zdrowie poety. Była jak zwykle w bardzo złym humorze, w gorszym może niż kiedykolwiek. Sieniuta wybiegł do niej do wrót.

— Słyszeliśmy, że ten pan chory? — zapytała.

— Bardzo — rzekł krótko profesor.

— To nieszczęście, szepnęła Angielka. Chciałabym wywieźć ztąd Rosę, na której ten biedny na śmierć skazany człowiek robi wielkie wrażenie... Upiera mi się zostać. To niema sensu.

Spojrzała na profesora.

— Nie prawdaż? dodała — to nie prowadzi do niczego! Myśmy powinny jechać. Radzę jej Palermo, kraj bardzo malowniczy.

Sieniucie równie myśli brakło jak głosu; głową potrząsał cały zajęty swą niedolą.

Z niczem więc pani Trellawney odejść musiała.

Dziwnem jakimś jasnowidzeniem choroby, Adrjan, gdy profesor powrócił, odgadł, że musiał widzieć lub słyszeć coś — tyczącego się miss Rosy.

— Przysyłała się pytać o mnie? nieprawdaż? — odezwał się — powinienś był powiedzieć, że chory. Ale potrzeba to było uczynić — grzecznie, łagodnie, tak jakoś.

— Nie myśl o tem, a bądź pewien, — odezwał się Sieniuta — że ja nie popełnię nic niewłaściwego...

I nie było więcej o tem rozmowy do wieczoru. Przy herbacie Adrjan parę razy przypo-

miał Angielkę. Widocznie tęskno mu było, ale spojrzenie na rozrzucone papiery przypominało to, co nazywał obowiązkiem.

Następnego dnia Sieniuta odebrał list od matki, z którego widać było całą trwogę, jaką ją ogarnęła po przeczytaniu pisma starego profesora. Zapowiadała swój wyjazd natychmiast, prosząc, aby do niego Adrijana przygotowano. Do niego także był list czułości pełen, w którym Klara opisywała swą tęsknotę, niepokój, i pobożnie kłamiąc, malowała mu stan interesów tak szczęśliwym, że wcale już jej obecności nie wymagały. Oznajmowała razem, iż nie może znieść oddalenia, i dogadzając sercu, przybieży wkrótce do niego. Serce macierzyńskie list ten tak napisać umiało, że z niego bojaźni, co je przejmowała, wyczytać nie było można.

Adrijan ucieszył się wiadomością o przybyciu matki — list sprawił mu radość żywą, i miał ten dobry skutek, że go na godzin parę oderwał od poematu.

Obawiał się tylko, aby niespodziane jakie trudności nie zmieniły planów matki.

Życie i następnych dni płynęło jednostajnie. Z rana przybywał doktor, przepisujący różne środki, rzadko potem przyjmowane przez pacjenta, który się upierał przy swoich jakichś lekach i dyecie, jaką sobie wymyślał. Następowало grzebanie się w papierach dawnych, bo natchnienie oczekiwane do ostatniej pieśni nie przychodziło.

Codzień hrabia szedł na śniadanie do Tramon-tany, niosąc tam jakąś wiadomość o Adrjanie, a starając się na swój rachunek przybliżyć do miss Rosy. Wcale mu się w tem nie wiodło.

Oprócz uroku, jaki dla niego miała cudzo-ziemka, wiedział przez Sieniutę, z którym pani Trellawney była w bardzo przyjaznym stosunku, iż miss Rosa, jedynaczka, jest dziedziczką pięknego majątku i zamku w Yorkshire, i że dochód jej wynosi najmniej trzy tysiące funtów. Hrabia był trochę już fantazjami swemi nadrujnowany, funty więc były dla niego równie pożądane jak piękność. Na nieszczęście zabójczym chłodem odpychała go Angielka, ilekroć poufalszym i czulszym się być odważył.

Zdrowie Adrijana wcale się nie polepszało. Wprawdzie krew nie zjawiała się tak często, ani tak obficie, lecz gorączki niepodobna było ugasić i siły nikły w oczach. Z trudnością mógł się przechadzać po pokoju, i najczęściej leżał na pół na kanapie z teczką na kolanach, bo i siedzenie go męczyło.

Do zwiększenia boleści Sieniuty, który chodził pogrążony w niemem jakimś osłupieniu, przyczyniło się i to, że Adrjan, gdy byli raz sami, przeczytał mu jeden ustęp swojego poematu, w chwili gdy był jego pięknnością przejęty.

Profesor widzący zawsze, we wszystkim strony piękne, został zachwycony, gdyż ustęp w istocie był formą i myślą wielkiego wdzięku

i siły... Rzucił się ze łzami ścisnąć ucznia, całując go w głowę i po rękach, uniesiony tak, iż o niebezpieczeństwie popisów głośnych zapomniiał.

Lody były złamane, Adrjan opowiedział mu szczegółowo treść poezji swej, i począł ją odczytywać z zapalem wielkim. Dwie ich dusze rozumiały się doskonale, i Sieniuta teraz sam nie śmiał już wstrzymywać ucznia od zamierzonego dokończenia.

Potrzeba było uroczyście danego słowa, iż ani przed Marjanem, ani przed nikim w świecie nie wyjawí swojego szczęścia — aby stary mógł się powstrzymać od głoszenia go i ciągłego mówienia o tem, co myśl jego zaprzętało nieustannie.

Tem zaufaniem zjednał sobie tak Adrjan stróża swojego, iż ten nie śmiał mu się już w niczem sprzeciwiać, i stawszy się wielbicielem został razem i sługą najpowolniejszym.

Jednego wieczoru posłaniec pośpieszny z Neapolu, przyniósł niespodzianie list od matki, która już się tam znajdowała. Nie chciała jednak spaść niespodzianie, aby jej przybycie zbyt żywego nie uczyniło wrażenia. Doktor Salicetti, z którym się tam widziała, zalecił także ostrożność.

Kartka była do Adrijana:

„Mój drogi! — pisała — nareszcie się przywlokłam do ciebie. Serce mi sił dodawało do dosyć pośpiesznej podróży, którą się czuję tak

zmęczoną, że kilka godzin tu spocząć muszę. Pocziwa siostra Drwęcka nie chciała puścić mnie samej; musiałam przyjąć towarzystwo drogiej Leni, której doktorowie także przejażdżkę na południe życzyli. Pielęgnowała mnie w drodze i t. d.“

Adrianowi wypadł list z rąk, gdy wzmiankę o Leni przeczytał.

Z twarzy trudno było wyrozumieć, czy go ta wiadomość ucieszyła, czy przelękała. Czuł się względem niej winowajcą. Zwilżyły mu się powieki i drżącym głosem rzekł do Sieniuty:

— Pan Bóg mi zsyła tę pociechę, że ją jeszcze zobaczę... Żal mi jej, bo tu znajdzie smutek tylko... O! anielskiej dobroci istota...

Nazajutrz spodziewając się już matki, od rana Adrian zajął się sobą. Chciał się ubrać, odświeżyć, złudzić przybywające pozorem jakiegoś zdrowia. Było to niepodobieństwem. Ubranie uwydatniło tylko straszne wyniszczenie, błądź trupa i skutki choroby, która go dobijała. Usiłował się wprawić do chodzenia po pokoju, lecz i to przychodziło z trudnością, i parę razy przesunawszy się przez salkę, musiał siadać i spoczywać.

W miarę jak się zbliżała godzina prawdopodobna przybycia, Adrian coraz się stawał niespokojniejszym. Zaglądał do okien, wybiegał do drzwi i siadał zaraz na pół omdlały z małego wysilenia. Marjana zostawiwszy przy nim, Sie-

niuta uznał za potrzebne wyjść naprzeciw matki, aby ją przygotować do smutnego widoku syna, i zakłąć, by nie okazywała po sobie wrażenia, jakie na niej uczyni.

Opodał nieco od willi profesor stał już z godzinę na tych czatach smutnych, gdy powóz się przybliżył. Chustką dając znaki, Sieniuta ledwie go zdołał zatrzymać.

Poznawszy go pani Klara, krzyknęła trochę przelęknona.

— Chciałem ja panią moją przywitać pierwszy — odezwał się stary głosem drżącym. Adrijanowi jest trochę lepiej, ale niezmiernie osłabiony, podrażniony...

Nie trzeba, o ile możności, żadnych scen rozczulających wywoływać... Niech mu pani tego nie okaże, iż — może — wyda się jej trochę mizernym. Teraz to przejdzie, tacy goście życie i zdrowie z sobą niosą.

Matka słuchała drżąca, zrozumiała już wszystko. Wsiadłszy z powozu, poszła z Lenią pieszo za profesorem. Sieniuta, który znał dzieckiem panienkę, aniby jej był poznał, nie wiedząc kogo ma przed sobą. Lenia wydała mu się nad swój wiek starszą i wątłą. Zmuszała się do uśmiechów, łzy mając w oczach i głosie. Na kilka zapytań ledwie słówko odpowiedzieć potrafiła.

Adrijan, który turkotu powozu nie usłyszał — bo ten się zatrzymał — nie wyszedł do

ganku, dopiero po szeleście sukni i chodzie cichym poznał matkę i rzucił się ku niej. W niemym uścisku zostali chwilę, a gdy Klara podniosła oczy na twarz syna, ledwie się od wykrzyku wstrzymać mogła... Lenia stała zmuszona się oprzeć o ścianę, aby nie upaść ze wzruszenia na widok biednego chłopca, który napróżno uśmiech starał się wywołać na usta. Była to chwila ciężka do przeżycia dla wszystkich, oblana łzami, lecz zawsze chwila radości błogiej, uspakajającej. Byli z sobą jeszcze — po za tem w mroku ginęła przyszłość. Radość a może siła woli dała Adrjanowi dnia tego więcej nieco wytrwałości, życia, niż ich miał zwykle. Poruszał się łatwiej, nie czuł zmęczenia, nie kaszlał prawie, policzki tylko paliły mu się nie rumieńcem młodości, ale pożarem ognia wewnętrznego, który go trawił.

Wieczór krótki zeszedł na pytaniach o kraj, znajomych, nawet o stworzenia niegdyś ulubione w domu. Lenia, która w początku przemówić prawie nie mogła, odzyskała nieco mocy nad sobą, i choć się jej serce krajało, musiała udawać swobodną, wesołą prawie.

Dopiero gdy obie z matką odeszły do swojego pokoju, z płaczem rzuciły się sobie w objęcia. Obie jednak nie przypuszczały strasznej myśli, by Adrijana życiu mogło co zagrażać; widziały tylko cierpienie, na które bądź co bądź należało szukać ratunku. Doświadczenijsza matka

miała chwilowe przeczucia — ale te z przerażeniem odpychała.

Obwiniać syna nie potrafiłaby była — winiła doktora, miała żal wielki do Salicettego, który dopuścił do takiego pogorszenia, winiła nieszczęśliwe Sorrento i czyste jego zdrowe powietrze, iż śmierć w piersi wlewało. Chciała gdzieindziej szukać ratunku, rady, powietrza — spoczynku. Lenia umiała tylko wzdychać i popłakiwać — nie wiedziała co robić, jej zdawało się, że najskuteczniejszemby było powrócić do domu, na wieś, i tam Adrijana pielegnować. Nie mogła przypuścić, by gdzie na świecie zdrowiej było niż tam między balsamicznymi sosnowymi borami.

Jeszcze Klara nie mogąc się uspokoić biegła do pokoju łamiąc ręce, gdy stary Sieniuta, przewidujący, że tu będzie potrzebny, zapukał do drzwi. Mimo wewnętrznego smutku, pocziwając swą twarz przybrał w wyraz jakiś uspokojony. Matka niezmiernie rada pospieszyła ku niemu, i nie dając mu mówić prawie, poczęła sama wylewać się z tem wszystkiem, co na myśli miała.

— Mój drogi, stary przyjacielu — ja muszę ztąd wywieźć Adrijana! Jemu to powietrze tu-tejsze jest zabójcze... Salicetti nieuk, w Rzymie, we Florencji są doktorowie sławni. Potrzeba spieszyć, z nim jest źle! My musimy uciekać!!

Mówiła to szybko, nie dając się odzywać Sieniucie, który stał z głową spuszczoną. W ostatku, odpowiedzi od niego żądając — wstrzymała się — chwyciła go za rękę.

— Co ty na to? mów!

— Mnie się tylko zdaje, że choćby podróż Adrijanowi mogła z innych względów być — pożądaną — w tym stanie osłabienia, w jakim on dziś jest — jechać, wieźć go — prawie niepodobna.

— Więc doktorów tu sprowadzić? choćby z najdalszych stron — Salicetti, ten nieszczęsny Salicetti, jak wszyscy włoscy doktorowie, nic nie umie! On jest winien.

— Nie wiem, odparł Sieniuta, ja zastałem pana Adrijana daleko lepiej, ale się nie szanował — pracował nadto... przysparzał sobie gorączki.

— On do tego był przywykły, przerwała matka — nie obwiniaj go proszę... powietrze tutejsze...

Profesor zamilkł — Klara chodziła poruszona i niespokojna.

— Moglibyśmy go w Neapolu na okręt wsadzić i wieźć do Porto Ferrajo... Wszyscy słabi na piersi tam szukają ulgi, cuda robi powietrze, mówiono mi o tem po drodze.

Nie sprzeciwiał się Sieniuta, dodał tylko:

— Byleby pan Adrijan na to przystał.

— Ja go tak będę prosiła! składając ręce odezwała się matka.

Tymczasem gdy się to działo w mieszkaniu jej, Adrian wzruszony przybyciem drogich gości, uspokoić się nie mógł długo. Zdawało się, że radość doznana powinna go była całego objąć i więcej żadnej nie dopuścić myśli do głowy, troski do serca. Po chwili jednak, spojrzawszy na teczkę, która skarb jego zawierała, z podwójną chciwością pracy, rzucił się do niej.

Powracający od Klary profesor już zastał go nad nią. Teraz nie śmiał protestować, poemat zajmował go równie jak autora, i mówił sobie, że grzechemby było, skazanemu i tak na śmierć, nie dać go dokończyć, pozbawić ostatniej w życiu pociechy.

Oderwał się jednak sam poeta od tych kart, zapytując Sieniutę, jak znalazł po latach długich niewidzenia matkę i Lenię?

Profesor odparł jakimś ogólnikiem tylko.

— Co się to zrobiło z tego ślicznego, niebieskiego dziewczęcia, tak wesołego, które pamiętasz głośno wykrzykujące i swawolące w ogrodzie naszym! Jak prędko zmienił się pączek ten w kwiatek, a sam on jak dziś poważnie, jak smutno, jak inaczej wygląda!...

Serce mi się ściska, gdy na nią patrzę: ma wyraz bolejący, mimo rezygnacji... Zdaje się być nieszczęśliwą.

— Mówiła mi pani, że nie jest bardzo zdrowa — rzekł Sieniuta. Powietrze Włoch, nowe widoki, rozrywka, uleczą ją.

Adrian potrząsł głową i siadł podparty na rękach, nad papierami. Sieniuta w tych godzinach pracy nie przerywał mu, siadał zwykle na uboczu, patrzył na ukochanego ucznia, i czekał w gotowości do rozmowy, do słuchania, gdyby Adrian chciał go wezwać do tego. Często bardzo teraz w istocie przerywał sobie poeta, i albo ustęp jaki czytał, badając jakie na starym uczyni wrażenie, lub rzucał pytanie, chcąc rozwiązania wątpliwości jakiejś.

Tego dnia wszakże roztargniony był, nie mógł zebrać myśli, i rychło zamknął tekę, mówiąc, że potrzebuje spoczynku, że chce spać, śnić i marzyć.

Głę się to działo, ostatnich dni zwłaszcza, hrabia Marjan, który się coraz bardziej czuł tu niepotrzebnym, rozmyślał, co by miał począć? Trzymała go trochę miss Rosa, trochę rozwiązanie tej tragedji, na której akt ostatni trafił, w ostatku i pewne nczucie dla Adriana. Nudziła go już jednostajność i przeciąganie się choroby; zrażało to, że bardzo małą i nieznaczącą grał rolę; lecz postanowił dotrwać jeszcze. Nie przyznawał się do tego może sam przed sobą, lecz być świadkiem ostatnich godzin wielkiego poety, zebrać materiały nieoceniony do jego biografii — miało dla niego także pewną ponętę. Radby był pochwycić ten poemat niewydany, stać się jego wydawcą i komentatorem. Byłoby go to w pewny sposób postawiło na świecie i przerwało nudy, na które bolał.

Nazajutrz więc przez matkę starając się zbliżyć do Adrijana, hrabia poszedł z rana do niej, aby pomówić o synu. Okazał tyle i tak gorącego współczucia dla przyjaciela, tak się oświadczał z zupełną gotowością na wszelkie dla niego usługi, iż tem sobie panią Klarę pozyskał.

Z wielką oględnością rzucił myśl, przypuszczenie — iż towarzystwo pocziwego, zacnego, nieoszacowanego profesora może niekoniecznie było najlepszem, najwłaściwszem dla chorego. Znajdował, że stary Sieniuta zbyt go zamęczał rozmowami o literaturze i sztuce, że lepiej byłoby zabawiać go, rozrywać czemś lżejszem...

On sam, powtarzał, gotów był do wszystkiego cokolwiek Adrijanowi miłym być mogło, nawet do Porto Ferrajo jechać się z nim ofiarować, choć miejsce to było najstraszniejszą pustką i wygnaniem. Matka dnia tego wybrała się na obiad do Tramontany.

Marjan jej towarzyszył. Profesor z Adrijanem jedli w domu.

Gdy pani Klara z Lenią ukazały się tam, miss Rosa zobaczywszy ją, pobiegła żywo na powitanie. Oczywiście ciekawemi zmierzyła towarzyszkę matki, i jakby się w niej domyślała rywalki, zarumieniła się mocno. Można było posądzić, iż wiedziała coś z przeszłości Adrijana.

Przywitanie z matką było bardzo serdeczne. Gdy ta przedstawiła jej swą siostrzenicę, miss

Rosa przemógłszy się, bo w początku stała dosyć zimna i niepewna siebie — przyszła wyciągając do niej ręce i głosem przejętym odezwała się:

— Będziemy dobrimi przyjaciółkami, nieprawdaż? Pani tu nie masz nikogo znajomego bliżej. Pani Klara będzie zajęta, ja jestem wolna, próżniaczka i ofiaruję się jej za cicerona, za co zechcesz — nadewszystko proszę o trochę serca i życzliwości.

Pomimo tak czułego przemówienia, Lenia czy jakimś przeczuciem, czy przez bojaźliwość wrodzoną i brak znajomości świata, znalazła się dosyć zimną, i z milczącej kontemplacji wyprowadzić się nie dała.

Dla hrabiego, który wiele się domyślał i odgadywał — widok to był nader zajmujący. Mniej jednak niż kiedy mógł się przybliżyć do miss Rosy, i nie wiedząc czem się zająć, począł wyciągać na rozmowę pannę Lenię. Ta bojaźliwa, rumieniąca się, naiwna wieśniaczka, dosyć go interesowała. Była piękna i coś w niej upatrywał zagadkowego. W rozmowę ją wciągnąć nie było łatwo, bo odpowiadała pół słowami, jak najkrócej i widocznie tylko z musu. Hrabia za przedmiot sobie obrał kraj nieznajomy pięknej panience, pewien będąc, że wielki urok dla niej mieć musi. I ta struna nie dźwięczała. Lenia patrzyła nie widząc, słuchała nie rozumiejąc, tonęła w jakichś myślach.

Po obiedzie prawie natrętnie Angielka narpała się, aby jej Lenię powierzono. Chciała ją zaprowadzić do domu Tassa, pokazać Capri w wieczornym mroku, morze oświecone słońcem zachodu, wszystkie nieporównane piękności miejsc, nad którem ulatuje duch nieśmiertelnego poety. Chociaż Lenia się opierała, miss Rosa tak się stała napastliwą, iż ją zabrała z sobą.

Obie, bez pani Trelawney nawet wyszły razem na brzeg morza...

— Widzę — odezwała się śmiało Angielka — żeście nadto z sobą przywieźli smutku i tu go zastali, aby się nawet najcudniejszemi widokami rozrywać. Chorego macie na myśli? nie prawdaż? A! wiercie mi, że troskę i smutek dzielę z wami, choć waszego poetę znam od niedawna. Widywałam go częściej nim zachorował, zajmował mnie mocno, bo kogożby jego poetyczny duch nie owionął i nie npoił?...

Dla was on jest czemś więcej niż dla mnie: towarzyszem młodości, bratem...

Spojrzała w oczy zarumienionej Leni, i łązy w nich spostrzegłszy, dodała stłumionym nieco głosem:

— Więcej niż bratem!...

Tak — ciągnęła dalej. Pan Adriau w godzinach, któreśmy tu spędzali na tarasie, nie mając z kim, mawiał ze mną o wszystkim i o wszystkich, a choć imię wasze nie wyszło z ust

jego, z tego, co o latach swych dziecięcych rozpowiadał, domyślam się, że wy — wielkie miejsce zajęliście w sercu jego. O was mówił często...

Wyda się to wam dziwnem może, iż się z tego spowiadał przedemną! Lecz pan Adrian nie jest pospolitym człowiekiem — a ja byłam bardzo sympatycznym słuchaczem...

Lenia drżała, oczyma mierzając mówiącą, której bladość i poruszenie więcej może niż sympatję zdradzały, lecz razem i heroiczne zaparcie się siebie.

— A! prawdziwie — poczęła zmieszana Lenia — ja bardzo wątpię, ażebym w jego wspomnieniach miała miejsce tak wielkie. Prawda, dziećmi wychowywaliśmy się razem, kochaliśmy się jak rodzeństwo, ale tak wysoko sięgający duch nie mógł pozostać na nizinach, po których płynęło życie moje...

— I on to wyrzucał sobie — dodała miss Rosa z uśmiechem smutnym, — że wam wiernym nie pozostał. Ale waszą jedyną rywalką była poezja — nie można mu mieć za złe...

— A! ale jakimże sposobem, pani mógł ten biedny Adrian czynić takie zwierzenia? Więc?...

Lenia nie dokończyła, a miss Rosa, przybierając ton prawie mężki, przerwała:

— My Angielki nawykłyśmy do swobodnych bardzo rozmów z mężczyznami. Kuzyn wasz potrzebował widać wynurzyć się z myślami, i

jednego wieczoru... a! pamiętny to wieczór dla mnie... długo się spowiadał przedemną.

— Mogłabym wam pozazdrościć tego szczęścia — odparła Lenia z weschnieniem — przedemną nie zwierzał się nigdy...

— To dowodzi, że więcej miał dla was nczucia — dodała Angielka smutnie. Dobrze się stało, żeście tu z jego matką przyjechali; on do was prędkoby przybyć nie mógł, a tęsknił...

— A! nie do mnie! — westchnęła Lenia. W ostatnich latach tak go pochłonęła praca, iż zdawał się lękać, aby go od niej co na pół chwili nie oderwało. Tu więc z wami był innym.

— Krótko bardzo — odezwała się Angielka poważnie. Zdaje mi się, że go przyjaciele nsilowali oderwać trochę od rozgorączkowującego pisanja. Byliśmy wszyscy w spisku... Niestety! starania nasze nie zapobiegły wybuchowi choroby...

Wspomnienie o słabości, jak iskrą elektryczną poruszyło Lenię, dotąd malomówną i wstrzymującą się ze słowy.

— A! pani moja! — odezwała się, chwytając za ręce Angielkę — powiedz mi, ja nie wiem! boję się strasznie — choroba ta jestli niebezpieczną?

Wpatrzyła się ze śmiałością, jakiej dotychczas nie okazywała, w miss Rosę, która oczy spuścić musiała. Wiedziała ona, że Adrian był

bez nadziei, że dogorywał — ale miałaż biedne dziewczę zabić, mówiąc mu prawdę całą? Nie znała jej dosyć nawet, by obrachować czy ten cios nie byłby zabójczym. Po chwili więc dodała ostrożnie:

— Nie umiem wam odpowiedzieć na to. W każdym razie ciężka jest i potrzebuje starania wielkiego... Mając matkę i was, na tem mu nie zbędzie.

— Zmienił się strasznie! — dodało dziewczę — a! ja to widzę więcej od cioci, bo ona go nie tak dawno opuściła. Znikła mu młodość z twarzy, osłabł... a! pani! ja bez łez patrzeć na niego nie mogę...

Miss Rosa ścisnęła jej rękę, nie mówiąc nic długo...

— Miejmy nadzieję — odezwała się po namyśle — młodość ma siły wielkie. Poeci, których życie w nerwach jest całe, umieją równie szybko osłabnąć, i do sił powrócić sprawą ducha... Ciało u nich jest jego sługą i poddanym.

Mówiąc tak, szły pięknymi brzegami po skałach, których wysokość, przepaściste ściany w morzu tonące niekiedy przerażały Lenię... Słońce zachodziło w całym blasku rażącym, jakiego nie widują dzieci północy. Wszystkie barwy tego krajobrazu wydawały się jakby snem oczom nie-nawykłym do nich. Szafir ciemny wieczornego morza, niebiosa czarne i już gwiazdami posiane na północy, łuna krwawo-złota z zachodu, zieleni

ność drzew pomarańczowych i bluszczów, try-
skały silne i kontrastów pełne... Lenia patrzyła
niemal przestraszona, a miss Rosa, mimo bólu,
który jej serce uciskał, mimowoli się zachwycała
tą paletą bożą, jakiej malarz żaden nie dości-
gnie. Mogła pomyśleć, że ona, ona w najwięk-
szem nieszczęściu i niedoli mieć będzie pociechę
z widoku natury, gdy biedne dziewczę, które
szło za nią strwożone i smutne, języka niebios
i ziemi nie rozumiało, nic oprócz mowy własne-
go serca.

Tem większą dla niej litość poczuła, a wi-
dząc ją tak pograżoną w sobie i obojętną na to,
czem ją rozerwać pragnęła — odezwała się
stając:

— Widzę, że was jeszcze piękne Włochy
nie zajmują wcale; nie zdajecie się ich widzieć.
Chcecie, bym was odprowadziła do domu?

Uśmiechnęła się Lenia.

— Chodźmy, rzekła cicho. Ja — ja jestem
sobie biedną wieśniaczką, której myśl nigdy za
płot mojego ogrodu nie wybiegała. Mnie ten
świat nowy prawie przeraża; boję się o mój
kochany, jedyny, aby mi go nie zaćmił.

Szły tak ku willi, do której hrabia dawno
już był panią Klarę odprowadził. Adrian cze-
kał na nich, a nie zobaczywszy Leni, zapytał
zaraz o nią. Powiedziano mu, że się nią miss
Rosa zaopiekowała. Zadumał się głęboko poeta
i nie rzekł ani słowa.

Gdy dwie panny doszły do wrót, Angielka stanęła u nich, nie chcąc iść dalej, — żegnała Lenię. Tęskno spojrzała na okna willi, i milcząc zawróciła się wolnym krokiem do hotelu.

Skutkiem nie wiem jakiego wrażenia, może przez wpływ, jaki na nią Angielka wywarła, Lenia wracała śmielsza, z twarzą weselszą, i Adrijana powitała wejrzeniem siostry — przemówiła do niego, zbliżyła się odważniej do chorego...

Dni kilka upłynęło od przybycia matki do Sorrenta. Stan chorego, który w pierwszych dniach zdawał się polepszać, wkrótce potem począł zatrwajać. Jak lampa, która się wypaliła, coraz mniej sił miał do życia — gasnął w oczach. Zapał nawet dawny do poematu nie trwał nigdy nad godzin parę, które spędzał na rozmowie o nim z profesorem. I ona go już nużyła, wolał mówić o przeszłości i nadziejach na przyszłość. Wraz bowiem z pogorszeniem tak widocznym, dziwny się fenomen uwydatniał. Adrian dawniej łatwo się trwożący o siebie, nabrał teraz otuchy, był pewien, że wyzdrowieje wkrótce. Kryzys tę przypisywał różnym wpływom, spodziewał się ją przezwyciężyć i wesело mówił o dalszych podróżach.

— Wiesz, mój Sieniuto, odzywał się gdy sam na sam pozostali: z tą ostatnią moją pieśnią poematu nie pilno mi, znajdę później mo-

ment natchnienia i napiszę ją całą tchem jednym. Noszę ją w sobie całą... rośnie we mnie, żywię ją powoli. Lękam się, by to osłabienie nie odbiło się w niej, gdybym teraz począł pisać. Jestem pewien, że to zmęczenie wielkie przejdzie. Wy mieliście słuszość, iż pracowałem za wiele, za nagle, za gorączkowo, to mnie tak wyczerpało... Ale będę spał, jadł, próżnował i gwarzył po dziecięcemu z tą moją dobrą Lenią, z wami — i przyjdę do siebie! Gorąco mi wadzi — jak tylko upały przejdą — minie i to moje znużenie... bo to znużenie jest tylko — nie więcej.

Sieniuta, choć mu się na łyzy zbierało. potakiwał. Wesolość ta Adrijana była dla niego męczarnią; uchodził czasem, aby się pokryjomu wyszlochać.

Stan syna powoli i matkę zaczynał coraz bardziej niepokoić. Zebrano potajemnie konsylium. Doktorowie radzili jak zwykle, gdy rady już żadnej nie ma — podróż na wyspę Elbę, ośle mleko, rozmaite medykamenta, smarowidła, wody, środki higieniczne, które więcej dla pocieszenia rodziny, niż dla ratowania chorego się administrują.

Tymczasem o podróży z chorym pomyśleć nie było można, on sam utrzymywał, że się co dzień czule lepiej, a sił miał mniej coraz. Matka to miała jasnowidzenia strasznej katastrofy, to

się łądziła razem z nim, najmniejszym pozorem polepszenia.

Zdawało się jednego dnia, że głos miał silniejszy, drugiego, że cera była lepsza, apetyt większy. Lenia patrzała na to, potakiwała jej, ale czy dzieliła nadzieje? zgadnąć było niepodobna. Dla Adrijana miała zawsze uśmiech i choć pozór wesołości, aby ją w nim rozbudzić.

Znajomość zabrana z miss Rosą, choć dwie te kobiety ani charakterami, ani wychowaniem nie były do siebie podobne, z każdym dniem stawała się poufalsza, serdeczniejsza. Zdawało się, że te dwie czyste i piękne dusze, nawzajem się dopełniały. Gdy poeta odpoczywał lub sam chciał być z profesorem, Lenia wykradała się chętnie do tej nowej przyjaciółki, i przed nią nauczyła się wkrótce otwierać sercem całem... Angielka z macierzyńską prawie czułością, blada, z oczyma suchemi, słuchała jej, pocieszała.

Zwykle miss Rosa odprowadzała potem Lenię do wrót i popatrzywszy na wille, nie śmiejąc przestąpić jej progu, wracała sama do domu. Raz jednak znalazła się w ganku pani Klara, i usilnie prosić ją zaczęła, aby do niej wstąpiła.

Zawahawszy się nieco, miss Rosa poszła.

Jakim sposobem Adrijan odgadł bytność jej, czy mu kto o niej podszepnął, dosyć, że zapragnął bardzo podziękować za życzliwość dla swej kuzynki. i matka, choć nieśmiało, zapropono-

wala, aby na chwilkę weszła do salonu, w którym był chory.

Angielka, choć widać było po niej ile ją to kosztuje, poważna, chłodna pozornie, poszła... Wejrzenie na Adrijana musiało na niej bolesne uczynić wrażenie, zdawała się chwiać w progu, lecz zebrawszy się na męztwo, na uśmiech nawet, postąpiła wnet żywiej ku choremu i poczęła rozmowę lekką, wesołą, która wkrótce stała się powszechną. Angielka tak ją szczęśliwie poprowadzić umiała, że Adrijan odżył, uczuł się lepiej i gdy miss Rosa wstała, by odejść, w ganku przyklękała prawie przed nią matka, dziękując za tę chwilkę, a błagając, aby czasem dla nich zrobiła ofiarę i przyniosła z sobą trochę wesela.

W istocie poeta dnia tego mniej daleko cierpiał, duch jakiś wstąpił w niego, ale zarazem i dla Leni stał się czulszym. Patrząc na niego, gdy był razem z niemi dwiema, niepodobna było odgadnąć, ku której skłaniało się jego serce. Lenia nie była zazdrośna wcale. Za chwilę zajęcia z Angielką, wypłacał się jej potem podwojonemi dowodami przywiązania. Potrzebował ją ciągle mieć przy sobie, gdy wyszła, pytał i pisał po nią... A że do niej mówił zwykle żartobliwym tonem, ona mu też wesoło odpowiadać musiała.

Gdy raz Angielka weszła do willi i przyniosła z sobą taką pociechę, żądano ją mieć teraz ciągle, matka starała się ją pozyskać uwiel-

bieniem, jakie dla niej okazywała, a że z Lenią były dobrze, ją wysyłano w poselstwach, aby ściągnąć miss Rose.

Chociaż widok chorego nie mógł być dla niej miłym, Angielka zawahawszy się w początku, później już chętną z siebie czyniła ofiarę, Przynosila z sobą książki, rysunki, nadewszystko zaś myśl swą żywą, — humor, w którym dziwnie kojarzyły się z sobą głęboki smutek spokojny i wesołość zaprawna tęsknotą. Rozmowa jej dobywała nietylko z chorego Adrijana myśli nowe, ale rozbudzała Lenię, zajmowała matkę, nęciła starego profesora, poruszała hrabiego Marjana.

Wkrótce ten gość pożądany stał się prawie codziennym.

Lenia też bez swej Angielki żyć nie mogła, biegala do niej, przesiadywała, towarzyszyła do willi i w prostocie ducha wyznawała, że była dla niej nauczycielką najlepszą.

Nie jeden z tych wieczorów, spędzonych na rozmowie w saloniku, gdyby nad niemi nie wisiała groźba śmierci, nazwać byłoby można prawdziwą szczęścia godziną.

Poeta zwykle siadywał przed okrągłym stołem na kanapie, z której wstać mu było trudno; piękna jego twarz blada, okolona włosami czarnymi, miała w sobie coś idealnego, co tylko nadchodząca śmierć przynosi. Dla swoich, czy dla siebie, prawie zawsze uśmiech nosił na u-

stach i czoło miał wypogodzone. W głowach, tuż blisko nieodstępna zajmowała miejsce matka z robotą w ręku, ale wejrzeniem ciągle zwróconem na syna, wpatrzona w niego, aby na skinienie mu służyć, odgadywać, co mu było potrzeba.

Miss Rosa miała krzesło naprzeciw poety, z drugiej strony stoła, na którym leżało jej album lub książki. Czasami ołówek brała i dla zabawy chorego rzucała ręką wprawną na papier figury lazzaronów, znajomych przewodników i odrapanych żebraków małych. Tuż przy niej siedziała Lenia, i niekiedy dwie ich postacie formowały śliczną grupę, na którą z rozkoszą spoglądał Adrian. Kuzynka teraz pod wpływem Angielki, nierównie śmielsza, zyskiwała wiele, i umysł jej, jakby wychodząc z uśpienia, zadziwiał siłą i polotem, jakich się w nim nikt wprzód nie domyślał.

Rozpoczynano rozmowę zawsze prawie smutnie, bo wejrzenie na poetę przejmowało każdego, potem powoli zapominali się po trosze wszyscy. Ostatni promyk życia strzelał jasno i żywo, zdawało się niepodobieństwem, aby ta istota, tak jeszcze pełna ognia, z tak niewyczerpanym duchem, mogła być już tak bliską końca. Wszyscy więc wtórowali jego nadziejom, i sami się niemi karmili. Matka bywała niekiedy tak szczęśliwa, jak za dawnych dobrych czasów. Lenia trzpiotała się dziecinnie, Angielka zawiązywała

z poetą spory, profesor rozruszawszy się mieształ do rozpraw, i śmiech nieraz się nawet rozlegał, gdy Marjan wtrącał swe dowcipne ucinki...

Rola hrabiego była tu zaprawdę nieodpowiednią jego wymaganiom pierwotnym, dosyć podrzędną — lecz obył się z nią powoli. Chodził zwykle po sprawunki, przynosił paniom kwiaty, dostawał książki, zbierał miejscowe plotki, Adrjana rozrywał polityką, której on cierpieć nie mógł.

Ze wszystkich teraz otaczających chorego, nieznacznie jakoś miss Rosa największą tu zyskała przewagę i poszanowanie. Lenia kochała ją i radziła się we wszystkim. matka była w admiracji dla niej, i zwierzała się z każdej swej myśli, Adrjan jednej jej był posłuszny bez wymówek, hrabia potajemnie się w niej kochał, a profesor bił czołem.

Gdyby jej tu teraz zabrakło, zostawiłaby próżnię po sobie, którejby nic zapelnąć nie mogło. Dlatego pani Klara z trwogą modliła się wciąż, aby, uchwaj Boże, Angielka nie chciała wyruszyć do Sycylji, o której kilka razy mowa była.

W istocie bardzo nierada temu poświęceniu się dla chorego bez nadziei, temu oddaniu się na usługi obcych ludzi, pani Trellawney buntowała ją co wieczór, chcąc ztąd wyciągnąć. Gniewało ją to, że do willi albo miss Rosie towarzyszyć nie mogła, lub w drugim pokoju mu-

siała się ograniczać rozmową ze starym profesorem. Angielka powolna dla swej towarzyszki, dawała jej gderać, mówić, wyrzucać sobie nieroztropne postępowanie, lecz szła dalej własną drogą po myśli własnej.

Tak się jakoś złożyło to życie u łóża chorego, iż harmonijny dźwięk jego działał na niego uspakajająco i błogo. Nie mogło go to uleczyć, niestety! lecz rozwijanie się choroby zdawało się być powstrzymane. Nie dawano mu myśleć gorączkowo o poemacie — i męczyć się jego dokończeniem.

Z rana tylko, codziennie prawie, gdy przychodził profesor, Adrian zagadywał o nim. Wracał mu niepokój i chęć do pracy. Przerzucał papiery, czytał, i z westchnieniem tekę zamykał, odkładając robotę na później. Wieczorem gdy się wszyscy rozeszli, a czasem tylko została matka i Lenia, siedział jeszcze z niemi i ukołyszany szedł do snu z jasnymi myślami. Trwało to dni kilkanaście i zdawało się przeznaczonem przeciągnąć jeszcze. Miss Rosa, której rumieńce pobjadły, i zdrowie ucierpiało, odzywała się o wyjeździe do Palerma, ale Adrian mówić jej o tem nie dawał, a łzy matki i myśleć nie dozwalały.

Jednego wieczoru dziwnym zwrotem jakimś w rozmowie, coś wspomniano o Byronie, miss Rosa miała z sobą ostatni jego poemat. Adrian zajął się nim mocno i rozgorączkował się nieco.

Spostrzegłszy to Angielka, bardzo zręcznie wtrąciła coś innego, zagadała o sztuce, i zdawało się, że pierwsze zatarła wrażenie. Adrjan jednak pozostał milczący i zasepiony. Chciał dramat ów pożyczyć u miss Rosy, lecz odmówiła mu go wręcz.

— Dam panu później — teraz jest mi potrzebny — i książka nie moja — a do snu to nie jest właściwe czytanie dla chorego. Wyzdrowiej pan wprzód.

Gdy się rozeszli wszyscy i chory miał spać się położyć, usłyszano dzwonenie: Adrjan prosił Sieniuty, aby natychmiast przyszedł do niego.

Stary pospieszył na zawołanie trochę niespokojny. Znalazł go siedzącym na łóżku z głową w dłoni, z rumieńcami wypieczonemi, w stanie rozdrażnienia oddawna już niewidzianym. Pierś poruszała się żywo, cisnął ją drugą ręką.

— Wiesz co, mój stary dobry przyjacielu — zawołał zobaczywszy go wchodzącego — ja w tem naszym kółku niewieściem siedząc jak w puchu, niewieścieję sam. To wpływa na mój umysł i może wpłynąć na poemat...

On ma swe prawa !...

Chcę być szczęśliwy, dobrze mi jest wśród tych aniołów, ale nic nie słysząc oprócz szelestu ich skrzydeł... usnę bezsilny... Raz potrzeba skończyć z tym poematem, który mnie dusi.

On jest całą moją chorobą. Zrzucę go z piersi i z czaszki, a lżej mi będzie...

Sieniuta słuchał przełękły, otwierał już usta, aby się oprzeć, gdy nie dając mu się odezwać, Adrian począł dalej mówić, coraz żywiej — coraz goręcej:

— Słuchaj mnie mój stary, mój najlepszy przyjacielu. Brakuje mi tylko ostatniej pieśni. Jestem w niepewności, nie widzę jasno. Musi to być krzyk rozpaczny straszliwy i rozdzierający, czy wołanie radosne na widok ziemi obiecanej...

Krzyk rozpaczny, ciągnął dalej — pod względem artystycznym daleko potężniejsze uczyni wrażenie. Pogodnego, jasnego końca lękam się, aby mdłym i pospolitym nie był...

Co mówisz?

Sieniuta nieprędko zdobył się na odpowiedź.

— Ja, rzekł, wołałbym dziś wcale o tem nie mówić. Jesteś rozgorączkowany...

— Natchniony jestem! przerwał Adrian gniewny. Miałem myśli, które mi dane były z niebios do wypowiedzenia w tej a nie innej chwili. Opieszwały posłaniec opóźni się z nimi — i kto inny mnie wyprzedzi. Przyjdę późno jak echo tego, co już przebrzmiało. Chwili nie mam do stracenia...

Dziś czuję natchnienie, a gdy ten gość przybywa, odpychać się go nie godzi, inaczej nigdy nie wróci!

— Mój drogi! rzekł błagająco Sieniuta — słaby jeszcze jesteś.

— Wy wszystko nazywacie chorobą, czego nie rozumiecie! odparł niecierpliwie Adrjan. Nie sprzeciwiaj mi się — proszę cię! Chwila stanowcza nadeszła! Dwa te zakończenia biją się w piersi mojej...

Zadumał się chwilę.

— Krzyk rozpaczy wybiorę! zawołał marszcząc czoło.

Sieniucie, który już go drażnić dłuższem sprzeciwianiem się nie mógł, rozpaczliwe zakończenie, samą naturą swą zdało się niebezpieczniejszem dla Adrijana, bo silniej rozgorączkującym.

— Rozpacz nie będzie żadnem zakończeniem — odezwał się nagle: ona nie kończy nic, nic nie dowodzi, chyba że tego, co zamyka, rozpoczynać nie było warto. Ona jest uznaniem bezsilności i ślepoty!

— Sceptycyzm jest głosem wieku, to darmo — rzekł Adrjan.

— A nadzieja wyrazem przyszłości — odparł Sieniuta.

— Ostatnie słowo jak gorącym żelazem wypalone piętno powinno być wyciśniętem — rzekł Adrjan.

-- Rozpłyn się w jasnościach, przerwał Sieniuta — poematowi twojemu lepiej to przystało. Opiewa on ludzkie dzieje, a te skończone nie są, ani bezrozumne być mogą. Orłem okiem spojrz dalej niż drudzy, a dojrzysz światłości!

Adrian się zadumał i zdawał uspokajać.

— Może masz słuszość — odezwał się cicho — rozpacz jest głupia...

Lecz obok mojego bohatera, którego znasz, w którym się skupia co nasz wiek najwznioślejszego ma i najszlachetniejszego — stoi, jak wiesz — ta negacja wiekuista, ten Mefisto Fausta, duch sprzeczki i przekory, szyderstwa i niewiary, bez którego pełny obraz żadnej epoki być nie może. Ma go każdy czas, każdy naród w coraz odmiennej postaci...

Mojego Mefista mam-li strącić w przepaści, pozostawić mu życie?

— Sam go nazwałeś wiekuistym — począł Sieniuta, rad może, iż się rozmowa przedłużała — ciemności są tak wieczne jak światłość; gdzie jest żywot sam, i negacja jego być musi. Gdybyś go strącił w głębie nicości, on siłą swą przekory gotówby z nich byt stworzyć jakiś; wszak ci on zawsze przeciwnym krańcem być musi.

Mimowolnie stary profesor się rozgrzewał, pomiarkował się jednak spojrzawszy na twarz poety, iż nawet dłuższa rozprawa niebezpieczną dla niego była. Zakończył bardzo prozaicznie.

— Ale my bredzim, a ty spać iść powinieneś!

— Ja? dziś?... przepraszam cię — odparł Adrjan. Dziś ja wcale iść spać nie myślę. Bądź cobądź, muszę stworzyć tę pieśń ostatnią.

To mówiąc, począł rozrzucać papiery i chwycił pióro.

— Czuwaj, proszę cię, zostaw mnie samym, i — niech tu nikt nie wchodzi, dopóki nie zawołam. Czuję natchnienie, — pieśń ta musi być koroną poematu!

Profesor stał oniemiały.

— Adrjanie mój, rzekł łagodnie — dziecko moje, łudzisz się — jesteś za nadto osłabiony... Gdyby natchnienie przyszło nawet, nadasz mu chorobliwe znamię...

Sam powiadasz, że pieśń ostatnia powinna być koroną dzieła; a ty ją uczynisz słabą, niegodną początku, i wyczerpanym się okażesz.

Adrjan się oburzył.

— Nie znasz mnie, zawołał; zapomniałeś młodości i sił, jakie ona daje. Kto może oprócz mnie sądzić o mocy ducha, który ja w sobie czuję?...

Nie nie mówiąc już, Sieniuta zbliżył się, objął go i całować począł.

— Adrjanie, nie zabijaj się! rzekł płacząco.

Poeta opadł na poduszki, zmieniła mu się twarz, głos zniżył.

— Raz przecie — rzekł pokornie — skończyć to potrzeba... Dokończywszy wolnym będę. Dajmon, który mieszka we mnie, z ostatniem słowem pieśni uleci. Wrócę do panowania nad sobą, będę mógł kochać, marzyć i być szczęśliwym! Cięży mi ta niewola posłannictwa...

Dreczę się nią i sobą...

Dość tych zwłok, zrzucić z siebie ten ciężar muszę — pozwól mi, błagam cię...

Ze spuszczoną głową, z rękami załamanemi, profesor stał nie wiedząc co mu odpowiedzieć.

Adrian skorzystał z milczenia.

— Pierwsze pięćdziesiąt wierszy mam już gotowe — zawołał. Gdyście wyszli, wziąłem kilka kropel opium, które dzielnie pobudza nerwy do ruchu. Pod czarodziejskim wpływem tego napoju zrodził się pieśni początek. Słuchaj! powiem ci go na pamięć. Dajmon mi go dyktował; słyszałem szeptanie ducha, wiersze płynęły jeden za drugim kryształowe, jasne, błyszczące, strojne, dźwięczne... Źródło ich nie wyczerpało się, zdrój nie zaszedł mętami!

To mówiąc Adrian, jakby go istotnie siła jakaś nadziemską dźwignęła, powstał z łóżka, i z podniesioną do góry głową, mówić począł...

Sieniuta byłby się oparł temu wysiłkowi, gdyby od pierwszych wyrazów, które posłyszał,

nie został ich czarem ujęty. Tamując oddech, z wlepionemi w niego oczyma, stary upajał się cudnemi wierszami.

Piękne były na podziw.

W początku Adrian recytował je z zapalem, głosem podniesionym, lecz po chwili zabrakło mu siły, tchu, wyrazy coraz się stawały cichsze, siadł odpocząć, rękami pierś cisnąc zbolalą.

W tej chwili usłyszany głosem syna strwożona matka, powoli otworzyła drzwi i — weszła.

Adrian kończył, gdy ją zobaczył; Sieniuta dał jej znak, aby syna wstrzymała od zabójczego trudu...

Zrozumiała to łatwo, i ufając w przewagę swoją, zbliżyła się żywo, obejmując go za głowę.

— Dziecko moje, poczęła — na Boga! znowu te nocne zabójcze dla ciebie wysilenia! Daj mi słowo, że do uzdrowienia twego pisać przestaniesz... Wiesz jak ja pragnę ci we wszystkim być powolną — ale to ci zakazane... to cię zamęcza.

Adrian siedział z głową spuszczoną, walcząc z sobą: zdawało, że głos matki zwycięży; w końcu zlekka ją od siebie odtrącił.

— We wszystkim jestem mamie posłuszny, rzekł — w tem nie mogę. Głos z góry jest świętszy nawet od głosu matki.

Klara załamała ręce.

— A któż mnie dał ten głos, co się z mej piersi wyrzywa — jeśli nie Ten, co jest w górze! Adrjanie...

— Mamo, przerwał poeta — zaklinam cię — nie sprzeciwiaj mi się. Chwila może jedyna w życiu uchodzi; zostawcie mnie samym, błagam, proszę. Potem będę posłuszny jak dziecię — dziś nie mogę.

— Dziecko moje! powtórzyła matka — ja ci potem, gdy będziesz zdrow, słowa nie powiem. Stanę sama u drzwi na straży, aby nikt przerywać nie śmiał — ale dziś...

Poeta potrząsł głową, twarz mu się zaczęła rumienić. Sieniuta stał z dala, matka łamała ręce... Z za drzwi ukazała się twarz Leni... Podśluchiwała ona rozmowy, domyśliła się łatwo o co chodziło.

— Adrjanie! bracie kochany, zawolala nie śmiejąc wejść — nielitościwy jesteś dla matki i dla tych, co cię kochają! Więcej cenisz twój poemat niż nas wszystkich!

Podniósł głowę poeta...

— Nie drażnijcie mnie — odezwał się — Leniu, mamu, ja w tej chwili głuchy jestem — nie widzę was, nie znam was!!

Ręką wskazał rozkazująco ku drzwiom, osłupieli wszyscy, matka płakać zaczęła głośno. A nawet łzy jej nie potrafiły go zmiękczyć, chwycił pióro, gorączkowo porwał papier, spuścił głowę i pisać zaczął.

Stłumiony jęk Leni nie odbił się w nim, nie widział nikogo, nie słyszał nic, pióro biegło po papierze...

Zrozpaczona matka, chustką zakrywwszy twarz i tłumiąc jęk, zwolna wysunęła się z pokoju ku Leni, zostawiając profesora, który padł na krzesło, i pozostał niemym świadkiem tego buntu, niepowstrzymanego już niczem.

Adrian pisał — chwilami przerywał pisanie i zbierał myśli, czy szukał słowa, potem schylał się z pośpiechem, i pędził po papierze, którego kartki wkoło siebie rzucał.

Oczy mu się paliły dziko, usta drgały, czoło to się marszczyło, to wypogadzało, uśmiechy i groza przebiegały po twarzy ruchomej jak morska fala, przestraszającej momentami wyrazem zapалу rozognionego, wyuzdanego.

Naostatek pióro wypadło mu z ręki, osłabł i rzucił się na poduszki, nie spojrzawszy na profesora, jakby o nim zapomniał. Przymknął powieki, pierś podnosiła się żywo i gwałtownie.

Sieniuta zbliżył się do niego ze szklanką napoju, który doktor dla uspokojenia go przepisał; ale Adrian z wolna ją odepchnął, i potrząsłszy głową, pozostał z przymkniętymi powiekami, oparty na poduszce.

Ręką tylko ponowił znak dany wprzód profesorowi, aby się oddalił. Nie było tu już nic

do czynienia. Matka, Lenia, Sieniuta, wszyscy razem pozostali we drzwiach na czatach. Obawiano się ataku jakiego.

Adrian nie spał, najmniejszy szelest wprawiał go w nerwowe drganie. Kilka razy usiłował się podnieść i pióro pochwycić znowu, ręką szukał go po stole i dłoń opadała bezsilna...

Stojący we drzwiach niemi świadkowie tej walki z Dajmonem, mieli łzy w oczach. Matka się modliła, aby sen przyszedł na ratunek. Profesor też, któremu Adrian do opium wziętego się przyznał, spodziewał się tego skutku po gorączkowem marzeniu...

W istocie oddech lżejszy zwiastował wkrótce, że sen spadł na powieki. Sieniuta mógł wejść i zabrać światło nie przebudziwszy go... Przytknięto drzwi i spłakana matka z Lenią wróciły nadedniem do swojego pokoju. Sieniuta wierny siadł na balkonie.

Nazajutrz rano, dłużej niż zwykle Adrian nie wstawał, nie poruszywszy się prawie od chwili gdy padł na poduszki, spał do późna. Gdy się przebudził wreszcie, zakaszał mocno, i profesor przybiegł do niego; zdawał się nie pamiętać wczorajszego wieczoru. Zapytał o godzinę — poskarżył się na ból głowy, i dopiero okiem rzuciwszy na papiery rozrzucone, które

natychmiast zgarniać począł do teki, zamilkł nagle i sposepniał.

Sieniuta lękał się potrać o wspomnienie dnia wczorajszego, zaczął coś o rzeczach obojętnych, gdy Adrian zażądał gwałtownie odemknięcia żaluzji i światła. Trzymał w ręku kartki zapisane wczoraj, i cały był w nich znowu. Niepodobna go było oderwać. Wprzód jeszcze nim się rozbudził Adrian, Lenia, na której twarzy noc bezsenna zostawiła ślady, pobięła do przyjaciółki, miss Rosy.

Matka i ona lękały się, aby ten powrót do poezji nie przeciągnął się na dni następne. Obie doświadczyły już, że nie miały nad nim mocy. Lenia więc biegła błagać Angielkę, aby użyła wpływu swojego.

Rosa siedziała już na tarasie na morze patrząc, ale takimi oczyma, które nic nie widzą; wyciągnięta w krzesło jak ten posąg Agrypiny w Museo Borbonico, zamyślony, dumający wieki i tęsknoty całego rodzaju niewieściego zdający się dźwigać na sobie. Gdy Lenia przypadła do niej, obejmując z tyłu rękami, wstrząsnęła się cała, i potrzebowała chwili długiej, by przyjść do siebie z tych światów, na których była.

— O! droga moja — poczęło dziewczę — jakżeśmy noc przebyli!

Wzdrygnęła się Angielka przestraszona — Lenia opowiedziała jej po swojemu to nagłe zdi-

czenie Adrijana, ten bunt jego przeciw matce, przeciw sobie, przeciw staremu nauczycielowi, łzom i błaganiom wszystkich — i szął z jakim potem nieszczęśliwy poeta rzucał na papier pieśń ostatnią, dopóki siły się nie wyczerpały, i sen go nie rzucił na łożę...

Miss Rosa słuchała z zajęciem niezmiernem, błędniejąc i runieniąc się.

— Ciocia mnie przysyła do was — dokończyło dziewczę, zaklinając, abyście nas dzisiaj odwiedzili. My nie mamy nad nim tej władzy — was on może usłucha, wy umiecie złamać jego wolę... Ratujcie nas — on się zabija!

Lenia rzewnie płakać zaczęła... Uściskała ją Angielka.

— Będę, odezwała się, o zwykłej godzinie. Wcześniej przychodząc, wydałabym się z tem, że zostałam przez was zawołaną, że wy się trwożycie... Tego mu okazywać nie potrzeba...

Równie prawie niespokojna jak Lenia, miss Rosa poczęła się przechadzać po tarasie, rozpytujac o szczegóły. Dziwnem to było, że mniej ją bunt oburzać się zdawał, więcej obchodziły drobne okoliczności, które mu towarzyszyły.

Po godzinnej rozmowie, Lenia musiała wracać do domu. Tu znalazła ciotkę w krześle, z rękami załamanemi, pogrążoną w smutnem osłupieniu.

— Adrijan? cóż Adrijan? wstał? obudził się?

Klara głową potrząsała.

— Wstał — odpowiedziała cicho — ale po to tylko, aby się w papierach zagrzebać. Wygnał gniewnie hrabiego, profesora odpędził, drzwi zarygłował...

Ranek cały spłynął na podłuchach... W porze obiadowej nareszcie Adrian otworzył, i ubrany już siadłszy na kanapie, wpuścił oczekującą matkę.

Zamysłony był i milczący, na zapytania odpowiadał pół słowami. Gdy Lenia przystąpiła do niego, ufając łasce, jaką miała, Adrian bez zwykłego uśmiechu zwrócił się ku niej.

Pogroziła mu palcem.

— Jabyś tobie i matce pogrozić powinien — odezwał się chłodno poeta. Gdyby nie profesor i nie wy, wczoraj byłbym dokończył dziesięcioletnią pracę... a tak... Ja nie wiem — dodał — dziś, nigdy może! Natchnienie na zawołanie nie przychodzi; czuję się wyczerpanym do dna, — a skończyć to raz potrzeba... tak! potrzeba skończyć to, aby zacząć żyć...

— Mój drogi — odezwała się Lenia łagodnie — nie trudno ci będzie o natchnienie, łatwiej niż nam o obojętność, gdy widzimy, że cierpisz i szkodzisz sobie...

— Ja nie szkodzę sobie — ja się ratuję — dodał Adrian — chcę być od tego Dajmona wolny!

Hrabia, który nadszedł, począł rozpowiadać, aby oderwać od drażliwego przedmiotu, o przygodzie z Anglikiem na St. Lucia. Adrjan zatopiony w sobie nie słuchał.

Przy obiedzie nie jadł nic prawie, pił wodę z winem, łamał i kruszył chleb, roztargniony nie słyszał, gdy się kto odzywał do niego.

Sieniuta siedział naprzeciw.

— Tyś winien — rzekł wskazując na niego palcem w końcu obiadu.

— Ja? cóżem winien?

— Tak! tyś winien, że ja swobody nie odzyskałem — dokończył Adrjan — nie pojąłeś mojego położenia i swojego obowiązku. Straciłem może najdroższą chwilę życia!

Zafrasował się tą wymówką biedny nauczyciel.

— Jeżelim winien — odparł uderzając się w piersi — winę dzielę ze wszystkimi, co was kochają, z matką waszą...

— Ty powinienes być zrozumieć mnie, potrzebę ducha — i bronić mojej sprawy... a ty...

Nie kończąc, poeta wsparł się na dłoni, i posepny, z twarzą, na której coraz wydatniej wczorajszej walki widać było blizny, począł patrzeć w okno... Milczeli wszyscy, smutek jego przejmował ich, oprócz hrabiego, który chciał brać rzecz na lekko, i trochę ironii zaradzić na zły humor. Wiedział z dowiadczenia, że czasem

poeta dawał się, szyderstwem oblany, jak zimną wodą, ściągnąć z tych wyżyn, po których mu latać było tak niezdrowo.

— Kochany Adrjanie — odezwał się — dla nas chodzących po ziemi, którzy cię tak kochamy, zstąpże na nią choć na chwilę. Wenerujemy poetę jak kapłana, ależ i ksiądz czasem od ołtarza odchodzi, i uroczyste zrzuca szaty. Ty zdajesz się być i dziś jeszcze w ekstazie...

Adrjan nie patrząc na mówiącego, odezwał się tylko:

— Chciałbym być w niej, to pewna — ale ona przychodzi niewołana, i powraca tylko gdy sama chce. Mylisz się — nie jestem w tym stanie, do którego bym powrócić pragnął, ale w żalobie po nim...

Wszystko to może ci się wydawać śmiesznem, bo wszystko ma stronę śmieszną dla ludzi do szukania jej usposobionych; ale gdybyś był w mojem położeniu i stracił najlepsze życia lata dla osiągnięcia celu, a widział w ostatniej chwili ten cel uchodzący może na wieki — ręczę, więcejbyś niż ja rozpaczał.

Mówił to jakoś niezwyčajnym sobie tonem ostygłym, smutnie, tak, że Marjan nawet nie umiał żartobliwego znaleźć słowa, aby go rozerwać. Zamilkł.

Adrjan też powoli schylił się na poduszki, wsparł na rękę i zadumał głęboko.

Nadchodziła oczekiwana długo godzina zwykła, w której miss Rosa przychodziła. Lenia wyglądała jej niecierpliwie, niepokojąc się trochę. Wszyscy pozostali w saloniku w nadziei, że jej przybycie wyprowadzi Adrijana z tego zaśpienia i milczenia, które u niego zawsze złym było znakiem.

W śród ciszy długiej usłyszano nareszcie szelest sukni i powolny krok Angielki, która drzwi otworzywszy, weszła album niosąc w ręku, i jak gdyby wcale nie wiedziała co tu zastanie, głosem swym śmiałym i jasnym powitała najprzód matkę, potem syna. Wyciągniętą jej rączkę Adrijan ledwie podniósłszy się dotknął końcem palców i opadł znowu bezsilny na poduszkę.

— Cóż tu dziś tak jakoś milcząco i posępnie? odezwała się Angielka.

— Łatwo się domyślić — odparł hrabia — że my nastrajamy się do tonu jego. — Wskazał na Adrijana. — Jest dziś zmęczony.

— Czem? spytała Angielka.

Lenia wzięła na siebie objaśnienie.

— O to nawet pytać nie trzeba, rzekła — nie posłuchał nas, poetyzował noc całą i dziś ma ból głowy...

Miss Rosa z wymówką na niego spojrzała, ale oczu ku niej nie podniósł nawet, i odpowiedział obojętnie:

— Jestem skazany na to, by mnie najdrożsi sercu memu nie rozumieli. To, co dla mnie jest najwyższym życia celem, oni uważają za dziecinną jakąś zabawkę...

Tak jest — według nich ja jestem winowajcą, gdy w istocie mama, profesor, wszyscy popełnili świętokradztwo — nie pozwolili mi z błogiej korzystać godziny... W męczarniach chwyciłem jej resztkę... ale celu nie dopiąłem... Siły wyczerpane...

Ręką rzucił rozpaczliwie.

— Przecież chwile natchnienia powracają, odezwała się miss Rosa.

Adrian się uśmiechnął szydersko... nie patrzył na nią, siedział zgnębiony. Matka i wszyscy zwracali ku niej oczy, prosząc, aby się starała wyprowadzić go z tego smutku. Angielka usiadła naprzeciw na swem miejscu.

— Kochany poeto — rzekła wesoło — nie karzże mnie za winy cudze. Przychodzę niosąc ci pozdrowienie niebios Italii i morza, a przyjmujesz mnie jakbym była natrętem... Natchnienie powróci ze zdrowiem i siłami, a o to się najprzód starać potrzeba. Nikt nie winien oprócz pana, który jesteś niecierpliwy — powiem nawet, kapryśny.

Jakby dotknięty tą wymówką, poeta podniósł głowę i wlepił czarne oczy w Angielkę z takim wyrazem bólu i głębokiego uczucia, że

miss Rosa drgnęła przeszyta jego wejrzeniem. Zdawał się jej zupełnie zmieniony od wczoraj, inny. Dotąd choć zewnątrznie starał się być wesołym, mówił i wierzył w przyszłość, teraz wzrok jego jakby rozpowity, nowy, zimny — przemawiał rozpaczą i śmiercią. W chwili gdy miał coś odpowiedzieć Angielce, przypadkiem oko jego padło na matkę, i usta już otwarte zamknęły się, jakby zmienił dla niej ton swej odpowiedzi.

— Mówmy serjo — odezwał się powoli. Zaslugiwałbym na te przyjacielskie wymówki, gdyby... gdyby moje zdrowie w istocie dawało mi jaką nadzieję polepszenia i zmiany. Niechętnie o tem mówię — boleśnie mi w to uwierzyć, ale kto w moim wieku tak jest chory jak ja — ten (zawahał się), ten przynajmniej nieprędko, bardzo nieprędko czegoś się lepszego spodziewać może...

Wstrzymał się chwilę i z gorzkim półśmiechem dodał:

— Była pani kiedy w pracowni rzeźbiarza, gdy on modeluje z gliny? A! niewątpliwie! Więc pani wie, że model nieodwilżany wysycha, pęka, i świeżej gliny do niego już przylepić niepodobna. Tak jest z poematem... Przypuśćmy, że wyzdrowieje, co dla mnie jest bardzo wątpliwe, — poemat zaschnie i ja — ja dolepić końca nie potrafię.

Pomilczał trochę zmęczony, zakaszlał i rzekł

do zdumionych tonem spokojnym, a strasznym jakimś dla nielitościwego chłodu:

— Staje pytanie, które rozwiązać należy, i które ja rzucam z brutalnym cynizmem, ale raz — otwarcie — potrzeba się w tem rozpatrzeć jasno. Co lepiej: żebym ja umarł, czy mój poemat?

Usłyszawszy to matka biedna, krzyknęła i rozplakała się, Lenia rzuciła się ku mówiącemu, jakby mu usta chciała zamknąć dłonią, miss Rosa ruszyła ramionami niecierpliwie.

Płacz matki zdawał się na nim nie czynić wrażenia i dodał chłodno:

— Bardzo być może zresztą, że troskliwość niewczesna mnie zabije z poematem! W ten sposób oba zginiemy. Nosić go ciągle w piersi, być dręczonym przez tego Dajmona pieśni — wszak to męczarnia, której skutki widzicie na mnie. Dlaczegoż nie pozwalacie mi rozpaczliwym wysiłkiem potargać te więzy, i choć spróbować odżyć — swobodnym!!

Nikt mu nie śmiał odpowiedzieć, mężczyźni tylko patrzali na niego, oczyma wskazując matkę, ale nie miał nad nią litości. Miss Rosa odezwiała się, stosując się do jego chłodnej mowy.

— Jesteś pan zepsutem dziecięciem, które najokrutniejszymi posługuje się sofizmatami, byle się przy swoim utrzymać. Gdyby rozum przyznał mu zwycięstwo, serce będzie protestowało. Geniusz jest potężnym władcą, ma prawa wielkie, ale i geniuszowi serca potrzeba.

Wymówka ta, prawie groźna, dotknęła mocno Adrijana; żywo rękę wyciągnął ku Angielce.

— Przebacz mi pani, rzekł ciszej: pani masz słuszość, jam winien... Ale dziś to wszystko zapomnieć potrzeba, mnie i wam — dziś pono skończona walka, zamknięta arena...

Masz pani słuszość, dodał spokojnie — jestem dzieckiem zepsutem miłością matki, pobłażaniem tych, co mnie otaczali. Psuliście mnie wszyscy — aż do pani!

Uśmiechnął się grzecznie i chłodno, skłaniając przed nią głowę, zwrócił się zaraz do stojącej przy stole Leni, i obie ręce ku niej wyciągnął.

— A tyż, moja dobra siostrzyczko, nie psułaś mi nie także? O! i ty winna jesteś. Ale się nie lękaj, ja równie winnym czuję się względem ciebie, mamy, i pani — dodał patrząc na miss Rosę. A więc zgoda i spokój... wszystko skończone! wszystko! wszystko!

Mówił to tak jakoś smutnie a proroczo, że łązy w oczach stanęły słuchającym; aż hrabia Marjan, który się pogniewał na siebie, że go ta mowa poruszyła — odezwał się żywo:

— Adrijanie kochany — nie dręczże nas, proszę.

Wymówka ta zdała się działać na niego, podniósł się blady, i wyciągnął rękę do albumu miss Rosy.

— Cóżżeś pani nowego znalazła jeszcze w Sorrencie? spytał nagle. Mnie się zdaje, że już motywa wszystkie są wyczerpane! Liczmy! Stare drzewa i skały na pierwszym planie, morze w oddaleniu, massa warjantów... Skały same i morze... Pieczary, które woda wiekami dla pani wyłabiała... Są niektóre śliczne... *Grota verde*? nie prawdaż? Widok na Capri! Mury niektóre w Sorrencie. Mostek nad przepaścią. Cóż więcej?

Miss Rosa, choć chwilę się zawahała nim odzyskała swobodę umysłu i słowa — uśmiechnęła się otwierając album.

— Wiele więcej jest jeszcze! zawołała. Najprzód nie mówisz pan o tem, że jeden temat w dwóch różnych oświeceniach staje się nowym, tak jak dwie z jednej blachy odbite aqua-forty Rembrandta mogą być zupełnie różne.

— Ale dla nas profanów? wtrącił Adrian.

— Nawet dla — miłośników sztuki, poprawiła grzecznie Angielka... Capri jest takie maleńkie, a seciny malarzy czerpią z niego od wieku, i coraz coś nowego przynoszą. Tu nawet nie potrzebuję tego mówić panu, że nowe jest nie w starem Capri, ale w młodych oczach i duszy artystów...

— Tak, potwierdził Adrian — nowe jest w nas, choć nie zawsze, trzeba aby natchnienie jak anioł Tobiaszowi oczy zastygłe otwarło.

Westchnął.

Rozmowa wszedłszy na ten tor poważny toczyła się nim, jak niegdyś wozy kamiennemi kolejami ulic Pompei, nie zbaczając już w stronę, nie tykając drażliwego nic. Jakiś smutny spokój, przykrzejszy może od walki, co go poprzedziła, obwiał wszystkich. Wiał on od poety, ale trupim chłodem jakimś, mrozącym i przejmującym.

Jedna miss Rosa miała dosyć siły, by z drżeniem w głosie, zachować pozorną myśli swobodę. Zmuszała się do tonu Adrijana, aby nastroiwszy do niego, wyprowadzić go w inne sfery. To się jej jednak nie powiodło: pozostał czem się nagle uczynił przed chwilą, pod wrażeniem wymówki, pod zarzutem braku serca.

Wszyscy czuli niezmierną tę zmianę, jaka w nim zaszła, a nikogo ona nie pocieszyła. Było w tym spokoju coś rozpaczliwego.

Angielka pozostała do mroku, dłużej nieco niż zwykle, i wyczerpawszy wszystkie środki rozerwania chorego, wstała nareszcie, podając mu rękę, którą on też podniosłszy się ścisnął serdecznie, zatrzymując chwilę.

— Pani mi przebaczasz mój egoizm i brak serca? szepnął z uśmiechem — prawda? przebaczasz? Ja w tej chwili mocno potrzebuję jej przebaczenia, proszę o nie. Lżej mi z niem będzie...

— A! nie bierzże pan na serjo żartu! — odparła rumieniąc się miss Rosa. Jeśli kto o

przebaczenie prosić powinien, to ja... Byłam niegrzeczna! Daruj mi...

Spojrzeli sobie w oczy, i Adrjan z wolna musiał się schylić ku kanapie, bo mu sił zabrakło. Lenia wyprowadziła Angielkę aż do wrot.

— Droga moja, jak ty go znajdujesz? spytała. Masz niezmierną nad nim potęgę — uspokoił się...?

Miss Rosa milcząc uściskała ją, nie odpowiedziała nic i oddaliła się szybko...

Po wyjściu gościa tego, Adrjan wpadł znówu w zamyślenie... Na pytanie matki, na koncepta Marjana prawie nie odpowiadał, był czemś zaprzątnięty, ale spokojny. Pierwszego rozdrażnienia nie widać było śladu.

Matka w myśli dziękowała Angielce za tę zmianę, którą za bardzo szczęśliwą uważała.

Posłuszny jak dziecię, Adrjan dał się karcić i poić jak chciano; a gdy przyszła godzina rozstania, poprosił tylko z czułością jakąś profesora, aby z nim jeszcze chwilę pozostał.

— Tylko się nie obawiaj — dodał — o powtórzenie scen wczorajszych. Daję ci słowo, jestem zupełnie spokojny, natchnienia ani śladu, chodzę po ziemi...

Gdy się drzwi zamknęły i pozostali sami, Adrjan długo siedział milczący. Wskazał profe-

sorowi miejsce tuż przy stole, spojrzał kilkakroć na drzwi i dał mu znak, że nie życzyłby sobie być podsłuchiwanym. Sieniuta temi przygotowaniami do rozmowy już zmieszany, strwożył się bardziej jeszcze, gdy Adrian ująwszy go za rękę, począł stłumionym głosem:

— Mój drogi profesorze, trudno się łądzić dłużej — moja godzina ostatnia się zbliża.

Zobaczywszy przestrach na twarzy starego, dodał prawie wesoło:

— Trzeba mieć mężstwo, wobec nienniknionego. Ja to czuję, że mi pozostało niewiele...

— To są chorobliwe marzenia! przerwał Sieniuta.

— Przypuśćmy, że tak jest — począł Adrian — cóż ci szkodzi mnie posłuchać?...

Z poematu nie już nie będzie...

Potrząśł głową. Sieniuta chciał protestować.

— Nie mówmy o nim, stało się, rzekł. Nie jedno życie ludzkie wsiąka tak marnie w tę ziemię, która żyje trupami i z nich nowe tworzy życie. Gdzie wielka się walka toczy — padać musi ofiarników wielu. Jedno nie, jeden niepostrzeżony pocisk zabija... Takie prawo; któż przeciw prawu bożemu co może?...

Prosiłbym cię — tu się zatrzymał — abyś przy matce czas jakiś pozostał... Dla niej to będzie cios najboleśniejszy. Mnie jednego miała... Lenia ma wiele mężstwa. Powiesz miss Rosie...

— Ale, na Boga, Adrjanie — przerwał Sieninta, ulituj się nade mną, nie karmże mnie tem strasznem urojeniem...

Poeta popatrzał na niego.

— Sądziłem, rzekł, że mężniejszy jesteś — ale ty masz serce także nadto pocziwe...

Wiesz co? poproś tu lepiej Marjana, z nim będę mógł mówić otwarcie.

Sieninta ścisnąć go zaczął, błagając, aby się uspokoił i mówić o tem zaprzestał.

— Ja zupełnie spokojny jestem — przebole-
lałem — odparł chłodno Adrjan — wierz mi.

Nalegania profesora zdały się nareszcie skutkować, zamilkł i zajął się czem innem...

Sieninta nakłaniał do spoczynku, ofiarując się siedzieć przy nim i być na zawołanie; ale Adrjan z żywością odmówił, zaręczył, że spać się położy, że mu nic a nic nie potrzeba.

Na stole wielka wiązka kwiatów zbyteczną wonią napełniała pokój. Sieninta chciał ją zabrać z sobą — i na to się Adrjan nie zgodził.

— To mi nic a nic nie szkodzi, rzekł, — a ja tak kwiaty i woni ich lubię... Dajże mi się nasycić nią.

Uścisnęli się na dobranoc. Sieninta, choć zwrotem rozmowy trochę zmieszany, widząc, że Adrjan zdawał się zupełnie uspokojony i zabierał klasz do snu, wyszedł dodając sobie mężstwa.

Wróciwszy jednak do swojego pokoju, profesor nie mógł się spać położyć; czuł wzmagającą się trwogę jakąś, której sobie wytłómaczyć nie umiał. Duszno mu było w pokoju, wyszedł do ogródka, który ze trzech stron willę otaczał. Utrzymywany tylko dla przyjemności gości mieszkających w tym domu, ogródek, mimo swego położenia na brzegu morza skalistym, niczem się nie odznaczał. Przy jednej ścianie miał rozpiętą wielką cytrynę, z której signora Costa czasem przez okno zielone zrywała owoce, wielkie powyginane drzewo figowe, trochę bukszpanu i parę chudych cyprysów. Na grządkach kwiaty schły z pragnienia, bo je rzadko podlewano. Ścieżki też nie zalecały się utrzymaniem starannem. W rogu pod rodzajem loggiety, z której widok był na morze, stały ławy. Na jednej z nich zabrał miejsce Sieniuta, chcąc powietrzem ochłodzonem odetchnąć. Widać ztąd było okna pokoju sypialnego Adrijana i w nich światło, w które się zapatrzył stary. Wielka cisza nocna, którą tylko gdzieś w dole plusk fali rozbijającej się o skały przerywał — tak rozmarzyła Sieniutę, iż sparłszy się o ścianę, pozostał w błogiem npojeniu, pół śnie, pół czuwaniu, nie wiedział sam jak długo. Między snem, który go brał ze znużenia, a jawą nie było wielkiej różnicy. Gdy chłodniejsze coraz powietrze i lekki wiatr od morza rozbudziły go zupełnie, Sieniuta postrzegł, że w oknach Adrijana ciągle się jeszcze świeci.

Zwykle gasił lampę usypiając... miałaby o niej zapomnieć? Sieniuta podszedł na palcach pod okno, i stanął podsłuchiwać. W pokoju było cicho zupełnie, blask w oknie jakiś dziwny, zdawał się chwilami powiększać to gasnąć.

Nie umiejąc sobie tego wytłómaczyć, lecz o Adrijana uspokojony, Sieniuta wrócił na ławkę... Zabierało się na dzień.

Dziwna rzecz, z komina, zapewne signory Costy, która nie musiała spać (może robiła makarony, bo jak wiele innych kobiet z Torre Annunciata, z kąd była rodem — zajmowała się tym przemysłem) — z komina gęsty, czarny dym się dobywał.

Słup jego wznosił się wysoko w powietrze, i w górze dopiero pod wiatru lekkiego naciskiem gwałt rozrzedzony ku Capri. Sieniuta tłómaczył to sobie upodobaniem Włochów do pracowania w nocy, a odpoczywania w dni skwarne.

Gdy profesor ze snu się obudził, był już dzień biały, a na gościńcu od Castellamare i Neapolu panował ruch wielki. Włosi, którzy krzyczeć i wykrzykiwać lubią, z hałasem gnali wózki i osiołki. W domu wszystko się ruszało. Sieniuta się zawstydził, spotykając we drzwiach już ubraną Lenię.

— Profesor, jak widzę — odezwała się — chciałeś niecznośniego unikać gorąca, śpiąc na dworze, ale komary?..

Nie dając mu odpowiedzi, dodała:

— Dzięki Bogu, Adrian śpi spokojnie. Zasnął nawet daleko dłużej niż zwyczajnie. Nie chcemy go budzić — potrzebuje widać spoczynku.

Stary, który wiedział jak Adrian regularnie budził się zawsze o jednej godzinie, niespokojny trochę poszedł pode drzwi... Otworzył je ostrożnie... Na stole lampa zagasła stała w swem miejscu. Obok niej taka Adrijana rozłożona leżała — i pusta. On sam z głową na poduszkach rzuconą — której żółtość od czarnych odbijała włosów woskowo, z usty otwartemi spoczywał. Rękami obiema cisnął piersi... W kominie otwartym leżał stos spalonego papieru...

Adrian nie żył. W ostatniej godzinie zniszczył niedokończony poemat. Z ich obu została garść popiołu i na niej — kilka łez... Lzy i popiół wiatry wypłył i rozniosły...

Dajmon? — Przeniósł się do innej piersi.

K o n i e c.



Biblioteka Raczyńskich

JIK 84



JIK0084